Nr. 24. 30 h. — 25 fen.

SZERLOK HOLMES

TYGODNIK KRYMINALNY.

Kraków,
dnia 13 listopada 1909.

Z treści: **Zbudzona z letargu.**

Wychodzi w każdą sobotę.



Wydarta śmierci rozglądała się ze zdziwieniem po laboratoryum.

Przedruk wzbroniony.

Prenumerata kwartalna (13 numerów) wraz z przesyłką pocztową kor. 3·60, mk. 3·60, rs. 2·—.

Szerlok Holmes

Tygodnik kryminalny.

Redakcya i Administracya: ul. Zielona 7.

Prawo przekładu na inne języki zastrzeżone.

Cena numeru pojedynczego 30 hal., 25 fen., 15 kop.

Wychodzi w każdą sobotę.

Nr. 24. Kraków, dnia 13 listopada 1909. Nr. 24.

ZE ŚWIATA.

Ciekawy proces rozwodowy.

Ciekawe szczegóły przynoszą londyńskie dzienniki o powikłaniach małżeńskich w domu pewnego komedyopisarza, wiarołomstwie aktorki i współudziale jednego duchownego. Ciekawsze jeszcze są fakta z podobnego procesu, który wytoczył pewien woźny sądowy swojej żonie.

George Lemy Nordsworthy ożenił się w r. 1907, licząc lat 18½! — wyraźnie 18½ — z rówieśnicą swoją panną Sybillą Smith. Wesele odbyło się w kąpielowej miejscowości Birgleton, gdzie dzieciak — małżonek miał posadę rządową. Po ślubie młodzi małżonkowie nie zamieszkali razem, lecz każde z osobna wróciło do swojego mieszkania. Dlatego są pewne wątpliwości, czy małżeństwo to żyło w stosunkach takich, jakie są zwykłe w małżeństwie. Młoda żonka znalazła jednak smak w miłości. Pewnego pięknego dnia pojechała do Londynu, by, jak mówiła, odwiedzić swoją starą matkę Gdy po powrocie swej połowicy zdradzał mąż pewną wątpliwości, przysięgła mu mała kobietka na wszystkie świętości, że pozostała mu wierną. Nie przeszkadzało to jej jednak wcale najbliższym pociągiem znów wrócić do Londynu.

Dopiero w grudniu z. r. ruszyło się w niej sumienie, i bawiąc raz w Londynie napisała swojemu „wiernemu Lemy“, że nie może wytrzymać dłużej, by nie wyznać mu małej zdrady. „Między innemi“ żyła jak żona z mężem, z niejakim A. Millerem, a oryginalne, naiwne to wyznanie dziecka-kobiety brzmiało: „Dosyć nabroiłam, by ci zwrócić twoją wolność, i mam nadzieję, że skorzystasz z tego“! Przesłuchiwany w sądzie małoletni Menelaus zeznał, że nie mógł założyć wspólnego ogniska domowego z powodu szczupłych swoich dochodów, które na razie ograniczają się na tem, co miesięcznie na drobne wydatki od swojej matki dostanie. To efemeryczne małżeństwo dwojga dzieci zostało przez sędziego unieważnione, a do wyroku dołączona była nagana dla urzędnika stanu, który w tak lekkomyślny sposób. bez zbadania stosunków nowożeńców — udzielił im ślubu.

Kobiety policyantami.

Emancypacya kobiet przybiera w Ameryce kolosalne rozmiary. Odnosi się to zwłaszcza do stanu Cincinati. Tamtejszy klub kobiet powziął niedawno jednogłośnie następującą rezolucyę i przedłożył ją prezydentowi miasta:

„Sądzimy, że w Cincinati powinny kobiety co do praw być zupełnie zrównane z mężczyznami, i w konsenkwencyi połowa ilości urzędników publicznych powinna być obsadzana kobietami. Przedewszystkiem powinny zaś kobiety zająć miejsca policyantów; pełnić służbę na ulicy nie dłużej jednak jak do godziny 10 w nocy, żeby nie były napastowane przez złodziejów, wagabundów i łotrzyków rozmaitego rodzaju!“

Dla bliższego wyjaśnienia tego klasycznego wykwitu bezmiernej głupoty, dodać należy, że panie w Cincinati ubiegać się pragną o posady policyantów — tylko ze względu na publiczną moralność. Życzeniem ich jest pilnować przedewszystkiem, by w parkach i ogrodach nie całowały się młode parki ku zgorszeniu przechodniów.

Kinematograf przed sądem.

W Paryżu odbył się ciekawy termin sądowy. Mianowicie prokuratorya oskarżyła pewnego właściciela teatrzyku kinematograficznego, że produkowaniem pewnych drastycznych scen wywołuje publiczne zgorszenie wśród publiczności, odwiedzającej teatrzyk. Zakwestyonowane serye były zatytułowane: „Pogoń za pchłą“ i „Spowiedź“.

Oskarżony dowodził z całą stanowczością, że w produkcyach jego niema nic absolutnie nietylko gorszącego, ale ani nawet drastycznego. Komiczne i wesołe są te obrazy bez kwestyi.

Aby naocznie przekonać się o moralnej jakości tych żywych fotografii, postanowił senat zjawić się w oznaczonym dniu w biurze policyi w sali kinematograficznej, przeznaczonej specyalnie do cenzurowania film. Tam też zaprodukował przedsiębiorca owe „Pchły“ i „Spowiedź“. Trybunał po dokładnem zbadaniu — nabrał przekonania, że ani w „Pogoni za pchłą“, ani w „Spowiedzi“ niema nic, coby zagrażało podwalinom publicznej moralności.

Tragedya miłosna.

W Konstancyi, prześlicznej, historycznej miejscowości nad Jeziorem Bodeńskiem rozegrał się między dwojgiem młodych ludzi krwawy dramat, pociągając za sobą oboje w ciemną otchłań grobu.

24 letni robotnik w pobliskiej hucie szkła Adolf Richter zastrzelił kochankę swoją służącą Ernę Harnisch, a następnie celnym strzałem w skroń skierowanym, sam pozbawił się życia. Richter był cierpiącym piersiowo i to pchnęło go, jak się zdaje, do rozpaczliwego kroku. Młody człowiek skarżył się swej gospodyni, że się czuje niezdrowym. Wieczorem nie wychodził z domu. Gdy gospodyni wyszła na jakiś czas z mieszkania — przyszła narzeczona Richtera. W pół godziny, usłyszała gospodyni, która w międzyczasie wróciła, dwukrotny głuchy odgłos, ale nie przywiązywała do tego żadnej wagi i zasnęła spokojnie wieczorem jak zwykle. Gdy nad ranem chciała mu przynieść do pokoju kawę — zastała drzwi zamknięte. Gdy na pukanie nie było żadnej odpowiedzi, wyważono drzwi gwałtem. Znaleziono oboje zabitych, pławiących się we własnej krwi na ziemi. Każde z nich miało ranę w skroni. Rewolwer zabójczy trzymał jeszcze Richter w skrzepłej dłoni. Na stole leżał list pisany ręką dziewczyny, a był on treści następującej: „Kochana Matko! Wybacz mi mój krok! Nie było mi dane być szczęśliwą!“ Richter nie zostawił żadnego listu.

Szkielet z klejnotami.

Wielką senzacyę wzbudziło ostatnio w Nowym Jorku znalezienie szkieletu pewnej kobiety w lesie, znalezionej na Long Island z postrzałową i śmiertelną raną w skroni. Szkielet miał jeszcze na sobie eleganckie suknie, a kosztowne klejnoty świadczyły, że nieboszczka należała do zamożnej klasy. Zwłoki leżały prawdopodobnie już rok w lesie. Papiery znalezione przy nich dowodziły, że była ona niemką, która zapłaciła 16 marek 95 pf. handlarzowi żelaza Ottowi Schomerowi w Altonie. Blisko szkieletu leżał złoty damski zegarek z monogramem „A. L.“

ALLOTRIA.

W szkole.

Nauczyciel: Kto mi nazwie 4 zwierzęta mieszkające w Afryce?

Uczeń: Trzy lwy i jeden słoń!

Na odlew.

Żonaty pan: Panno Eulalio! Dlaczego pani raz za mąż nie idzie? Mówiąc między nami, starzeje się pani trochę!

Pana Eulalia: Mój panie, gdybym miała tak niewybredny gust, jak pańska żona, byłabym już dawno mężatką!...

W piwiarni.

Gość: Gdzie jest gospodarz?

Kelner: Poszedł na chrzciny!

Gość: Tak? To zawołaj mi go z piwnicy!...

Nasze dzieci.

— Wuju! Teraz uczymy się już w szkole francuskiego!

— Tak? No, to powiedz mi jak się nazywa osioł?

— Ee! Jeszcze nie przyszliśmy do brzydkich wyrazów!

Z cyklu przygód Szerloka Holmesa.

ZBUDZONA Z LETARGU.

ROZDZIAŁ I.

Zdumiewające drobnostki.

— Mistrzu! Jest już dziewiąta godzina! — rzekł Harry Takson, uczeń wielkiego detektywa. Stanął w drzwiach, podczas, gdy Szerlok Holmes siedział schylony przy stole, studyując pilnie gazety, których cały stos miał pod ręką.

Teraz zerwał się na równe nogi.

— O! do dyabła! — zaklął głośno — Zdaje mi się, że zaproszenie opiewa na godzinę ósmą? Nieprawdaż Harry?!

— Well, mr. Holmes! W tej chwili powinieneś pan już być u baroneta Freda Norfolka.

Wielki kryminalista zrzucił z siebie lekką marynarkę domową, a wdział natychmiast elegancki frak.

— Czy jesteś gotów mój chłopcze?

— Tak jest, mistrzu! Czy psa wziąść na łańcuszek?

Detektyw rzucił okiem na wierne zwierzę, leżące dotychczas pod biurkiem.

— Wystarczy, jeżeli go zamkniesz w ostatnim pokoju.

Gdy Harry powrócił, rzekł mistrz do niego:

— Tak bardzo interesująca ta wizyta nie będzie, ale wreszcie człowiek ma także i towarzyskie zobowiązania.

Zeszli prędko na dół i wsiedli do automobilu.

Dom baroneta Freda Norfolka był jednym z najpiękniejszych w Londynie, ogółem najpiękniejszy ze wszystkich domów w dzielnicy will Stepney.

Pewien słynny architekt projektował ową budowę. Białe jej ściany odbijały się prześlicznie od szmaragdowego tła starego parku, okalającego tą willę. Wszystkie sale i pokoje trzymane w stylu barocco — stały obecnie otworem. Ornamentyka tak fasady, jak i wewnętrzne ozdobienia były ciężkie i masywne.

Potężne słupy dźwigały olbrzymie kopuły i sklepienia. Puszyste drogie dywany tłumiły odgłos kroków.

Tłumnie napływali goście, rekrutujący się z przedstawicieli najlepszych sfer towarzyskich. Byli między nimi dyplomaci, lekarze, profesorowie uniwersytetu, wybitni artyści i wyżsi oficerowie. Panie w sukniach wieczorowych stanowiły pyszny „staffage“ do tego pięknego obrazu.

Powietrze przesiąknięte było wonią dyskretnych perfum, wesołe rozmowy rozbrzmiewały zewsząd, gdzieniegdzie i śmiech się odzywał.

Światowy detektyw i Harry przywitali się z gospodarzem.

Tu i ówdzie podawali starzy znajomi słynnemu detektywowi rękę, uśmiechając się przyjaźnie.

— Ten dom powinieneś pan obejrzeć! — rzekł nagle Walter Mikett, siwowłosy artysta. — Szczególniejszy styl, absolutnie nie w moim guście, ale na każdy sposób rzecz wysoce ciekawa i oryginalna! Narfolk nagromadził tu wszystko, co piękne i rzadkie, ze wszystkich epok i stron świata.

Harry Takson zainteresował się również tem bardzo i gotów był iść z malarzem. Powoli, prawie niechętnie, przyłączył się do nich i detektyw

Właśnie podziwiał Harry topór wojenny z wysp Fidżi, gdy zauważył, że mistrz jego pozostał był w tyle.

Wrócili się wszyscy i znaleźli wielkiego detektywa w bibliotece Norfolka, stojącego w zadumie przed szafą z książkami

— Aha! Szafa zainteresowała pana? — zauważył z uśmiechem malarz. — Czy tak, panie Holmes? Piękny, rzadki okaz w stylu odrodzenia. Tak przynajmniej by się zdawało. Jakie jest pańskie zdanie w tym względzie?

Ale słynny detektyw nic nie odpowiadał.

Harry zauważył z podziwem, że obojętne początkowo spojrzenia mistrza zmieniły teraz swój wyraz i natężenie. Patrzał jak zahypnotyzowany uparcie w jeden punkt szafy.

Młody asystent pokręcił głową. Pomimo całego wysiłku nie mógł pojąć, co przykuło tam tak nagle wzrok Holmesa.

Walter Mikett spostrzegł inne ciekawe rzeczy i poszedł dalej.

Teraz obrócił detektyw powoli głowę.

— Czy widzisz tę krew, Harry?

— Gdzie mistrzu?

— Ten mały purpurowy pasek na lewym filarku szafy?

Harry przymrużył oczy, patrząc na wskazane miejsce. I on spostrzegł także teraz słabe ślady krwi.

— To zadziwiające mistrzu! — rzekł — skąd się tu krew wziąść mogła? Szafa ta jest starożytna. Kto wie, może ta krew pochodzi z owych także czasów, co rzeźby zdobiące ją?

Szerlok Holmes skinął głową. Dziwny uśmiech zawitał na jego twarzy.

— Z pewnością!... Być może, że tu przed tą szafą zamordował Cezar Borgia Alfonsa de Biseglia, drugiego męża Lukrecyi Borgii. Wszak słyszałeś o tej najpiękniejszej kobiecie średnich wieków? Ta szafa byłaby bardzo stosowną na owe czasy i do owych ludzi!

— W jaki sposób przychodzisz pan na podobne pomysły?

— Nie, ja tylko żartuję!... Nie, jestem przekonany, że ta krew tutaj pochodzi zaledwie z przed kilku dni, a równocześnie zamek został od wielu, wielu dziesiątek lat, może wieków — po raz pierwszy otwarty zardzewiałym kluczem. Interesowałoby mnie bardzo, gdybym się tak mógł dowiedzieć, co w tej szafie się mieści?

Harry skłonił głowę.

— Wierzę mocno mistrzu! I mnie teraz wydaje się niejedna rzecz dziwną i zastanowienia godną. Czyżby dzisiejsze zebranie towarzyskie w tym zamku miało być punktem wyjścia dla dziwnych, tajemniczych przygód?!

Słynny detektyw wzruszył ramionami. Ale Walter Mikett nie dał mu już dojść do słowa. Przystąpił do detektywa i ukłoniwszy się przed wysoką, smukłą damą, przechodzącą właśnie obok — rzekł:

— To była lady Norfolk, panie Holmes! Jeszcze jej pan nie znasz? Nieprawdaż? Nasz przyjaciel Norfolk ożenił się przecież niedawno!

Holmes nie odpowiadał zaraz. Z dziwnym wyrazem oczu spojrzał na wspaniałą kobietę.

— Mieliśmy słuszność, mój Harry! — rzekł z uśmiechem — ta kobieta przypomina rzeczywiście Lukrecyę Borgia.

Malarz spojrzał zaambarasowany na Szerloka Holmesa.

— Czyś pan już widział kiedy obraz Lukrecyi Borgia?

— Oczywiście! Wisiał w jakiejś włoskiej galeryi, ale nie mogę sobie przypomnieć dokładnie, w jakiej? Było to wielkie malowidło w czarnych ramach, z owego drzewa, które nie umiera nigdy. Lady Norfolk przypomina mi rzeczywiście ów obraz. Ale co nas to zresztą obchodzi? Panie Mikett! Może będziesz pan tak grzecznym i przedstawisz mnie lady Norfolk?

— Z chęcią! Jest to prześliczna kobieta, ale pocóż to mówię? Wszak ją pan sam porównałeś przed chwilą z Lukrecyą Borgią, o której mówią, że była najpiękniejszą kobietą swego stulecia.

— Najpiękniejszą i — najniebezpieczniejszą! — poprawił detektyw.

Malarz przedstawił Szerloka Holmesa i jego towarzysza lady.

Holmes patrzał szczególniejszym wzrokiem na prześliczną kobietę.

Powiedziała mu kilka komplementów, ale detektyw światowy nic nie mówił prawie i tylko jeden Harry, śledzący każdą minę i każdy giest mistrza, zauważył, że oczy te magnetyzowały kobietę. Widocznem było, że lady Norfolk straciła cokolwiek ze swojego zimnego, wyrachowanego spokoju.

Odetchnęła swobodniej, gdy detektyw skłonił się lekko i pożegnał ją.

Ponieważ zaczęła się kolacya, nie miał czasu Harry wypytywać o wszystko swego nauczyciela.

Dotychczas nie oryentował się w sytuacyi i wcale jej nie pojmował. Obydwaj z Szerlokiem Holmesem byli po prostu zaproszeni na wieczór, co się dosyć często przytrafiało.

Nagle w to jasne, świetlane środowisko pada cień, skaza, mała krwawa plama, którą genialny człowiek wykrył. Zauważył kroplę krwi — to było wszystko. Stary, zardzewiały, klucz włożony został w zamek.

Te dwa spostrzeżenia wystarczały, by w genialnej tej głowie powstała cała sieć kombinacyi, domysłów i przypuszczeń — wspieranych olbrzymią inteligencyą i żelazną, konsekwentną logiką. Sieć ta zdawała się oplątywać lady Norfolk.

Bo, że sławny detektyw miał ją tu rzeczywiście na myśli — to było całkiem jasne dla Harry Taksona.

Dlaczego?

To było pytanie, na które na razie nie mógł dać sobie odpowiedzi.

Kolacya minęła; kilku z towarzystwa zaproponowało gry.

Damy zgodziły się na „fanty".

Wszyscy byli w wyjątkowo dobrych humorach, podnieceni jeszcze towarzystwem pięknych kobiet i wybornem winem z piwnicy Norfolka.

Gra poległa na tem, że kolejno każdy z panów zadawał swojej damie zagadkę. Jeżeli jej nie rozwiązała, to musiała wtedy wykonać rozkaz swego partnera, rozkaz, który poprzód uzyskał sankcyę ogólną grających.

Niejeden zażądał, aby różane usteczka jego damy dotknęły przelotnie, jak powiew wietrzyka, warg jego.

Teraz przyszła kolej na Szerloka Holmesa. Przez cały wieczór nie zagościł jeszcze uśmiech na surowej, a sympatycznej jego twarzy.

Jego damą była lady Norfolk.

On siedział w fotelu — ona stała. Wszystkich oczy były przykute do prześlicznej pary, gdyż Szerlok Holmes był wybornem, żywem „pendant" tak pod względem postawy, jak i wyglądu — do tej kobiety przypominającej dumą, urodą i wyniosłym wdziękiem — królowe, tak jak je sobie pospólstwo wyobraża. Oczekiwano po Holmesie wprost czegoś nadzwyczajnego. Harry Taksonowi zdawało się, jakby lady Narfolk patrzała na swojego męża wzrokiem wzywającym pomocy.

Ten ostatni przygryzł wargi.

Szerlok Holmes dał zagadkę. Gdy lady Norfolk jej nie rozwiązała — wzdragał się zrazu wydać jej jakiś rozkaz — patrzał tylko na nią, a ona pod wpływem tego wzroku mieszała się coraz bardziej. Harry nie spuszczał z niej oka; była rzeczywiście prześliczna.

Włosy miała niemal granatowe otaczające prześliczny owal jej śniadej, matowej twarzyczki, broda była miękka i okrągła. Z za koralowych ustek błyszczały ostre, białe ząbki. Usta złożone ciągle do demonicznego śmiechu, a oczy miały niewypowiedziany czar jakiś, a jednak nikt nie był w stanie patrzeć przez dłuższy czas w te oczy sfinksowe. Tylko Szerlok Holmes znosił ten wzrok spokojnie.

Patrzał na nią tak długo, aż cisza grobowa zapanowała w salonie, aż piękna kobieta nie mogła myśli swoich oderwać od tego strasznego człowieka, o nieugiętej, żelaznej woli.

A potem mówił, akcentując wyraźnie każde słowo:

— Żądam, ażebyś lady udała się do biblioteki. Otworzy tam pani szafę z książkami kluczem, który gdzieś ukryłaś. Z szafy przyniesiesz mi pani przedmiot, który niedawno temu w niej zamknęłaś.

Wszyscy odetchnęli z pewnym rodzajem ulgi. Chciano się śmiać, lecz jakaś ciężka moralna atmosfera tamowała swobodę. Lady Norfolk zbladła, lecz nie miała siły oprzeć się rozkazowi. Od długiego czasu spróbował Szerlok Holmes teraz po raz pierwszy swej gingatycznej siły woli. Od pierwszej chwili, gdy się zjawił w tem towarzystwie, opanował od razu umysł lady Narfolk.

Z początku wahała się, ale wzrok detektywa zmusił ją do posłuszeństwa i wreszcie przeszła powoli do biblioteki. Wszyscy patrzyli za nią, dopóki jej smukła postać nie zniknęła za kotarą z perskiego dywanu.

— To oryginalne! — rzekł Walter Mikett, otrząsając się z niemiłego wrażenia, jakiemu mimowoli wszyscy ulegli.

— Piramidalny pomysł! — zawołał jeden z oficerów — Co nam też teraz lady przyniesie?

— Może jaki stary pierścień papieża Aleksandra IV? — dowcipkował ktoś inny.

Wszyscy się roześmiali — dawny nastrój wracał powoli. Lady Narfolk powracała już z biblioteki. Chód jej nie był już tak lekki i pełen gracyi, jak zwykle. Szła ciężko, chwiała się niemal,

lecz prócz wielkiego detektywa nikt tego nie zauważył.

W prawej ręce niosła długi, kosztowny sztylet. Niektóre damy krzyknęły głośno — panowie dech wstrzymali.

Była to prześliczna broń: rękojeść złota, rubinami wysadzana, przedstawiała głowę lwa z pałającemi, czerwonymi oczyma. Klinga była ostra i błyszcząca, przytem wyginana jak wąż pełzający. Elektryczne lampy rzucały oślepiające światło na stal i wykazywały trzy krwawe plamy, które jak trzy korale wydawały się na białem, błyszczącem tle polerowanej stali.

Wszyscy cisnęli się dookoła lady, podziwiając historyczny sztylet.

Powieściopisarz Will Skelton rzekł:

— Ten pyszny okaz średniowiecznej broni mógłby nam z pewnością opowiedzieć ciekawy jakiś romans.

Ach! gdyby ta zimna stal mówić umiała! Każdy poeta byłby nędznym bazgraczem wobec rewelacyi tego sztyletu!

— Co jednak szczególniej podnosi wartość tego sztyletu, to ta krew, która do jego ostrza przywarła! — mruknął Dawid Loestar, słynny ze znawstwa broni i posiadacz pierwszorzędnego handlu starożytności.

Zdaje mi się, że okaz ten możnaby znakomicie spieniężyć!..

Oczy obecnych utkwione były w twarzy Szerloka Holmesa, jakby miał ostateczny wyrok ogłosić.

Tak samo patrzyła na niego błędnym wzrokiem lady Norfolk.

Wielki detektyw trzymał sztylet na dłoni i patrzył na niego pod światło.

— Nazwisko! — zawołał wreszcie — nazwisko wygrawirowane jest na stali! — i kilku z gości odsylabizowało równocześnie:

„F-e-r-r-a-r a“

— Ferrara! Imię włoskiego miasta! Ferrara! Miejsce sławne pobytem Ariosta, Tassa, Renaty! Którego z książąt krew sztylet ten plami.

Szerlok Holmes uśmiechnął się.

— Ach! Czyja krew?! — powtórzył, podczas gdy wzrok jego spoczywał na lady Norfolk – Niebezpieczna broń! Zresztą — — tu zniżył głos do szeptu prawie, tak, że dochodził tylko prawie do małych, różowych uszek pięknej gospodyni -- Zresztą ta krew ma zaledwie dwa dni dopiero! Czy to nie szczególne, lady Norfolk? Dwa dni! Gołem okiem można to stwierdzić! Taka krew — sama mówi!!...

I z temi słowami odwrócił się. Nikt nie słyszał, co mówił. Ale lady wydała krótki krzyk i sztylet wyślizgnął się z jej rąk, sama osunęła sie na ziemię i upadła zemdlona.

Przerażeni goście pospieszyli z pomocą. Pan domu wraz z kilku przyjaciółmi wyniósł nieprzytomną do sąsiedniego pokoju. Sztylet błyszczący leżał na dywanie.

Holmes schylił się — i podczas, gdy obecni zajęci byli ratowaniem lady — podniósł prędko straszną broń i schował do kieszeni fraka.

Wszystko zabierało się do domów. Telefonowano po powozy i służbę.

Wtem weszła lady Norfolk z powrotem na salę. Była wprawdzie jeszcze blada, ale spokojna i rozważna jak przedtem. Zjawieniem jej uspokoili się również i goście. Wesołość powróciła wkrótce. Muzyka zaczęła grać galopadę.

Lady Norfolk przelatywała z rąk do rąk. Tańczyła aż do upadłego. Panny i kobiety przemykały w objęciach danserów z gracyą po woskowanej posadzce. Twarze pałały, kwiaty z włosów kobiet spadały na ziemię i były deptane stopami tańczących.

— Gdzie jest pan domu? — zapytał Szerlok Holmes swego ucznia, który nie odstępował od jego boku.

— Zaraz po epizodzie ze sztyletem zniknął z sali! — szepnął Harry Takson. – Wyszedł przez te szklanne drzwi w tyle.

— Pójdziemy go poszukać! — rzekł wielki detektyw.

Poszli powoli, ostrożnie przed tylny front domu.

Zrobiło się zupełnie ciemno, dochodziły jeszcze z pałacu niewyraźne tony muzyki. Nagle obydwaj mężczyźni zatrzymali się. Przez jedno okno padał mały promień światła.

— Zdaje się, że tu się schronił! – szepnął Szerlok Holmes. — Stań pod murem, żebym mógł coś zobaczyć!

Harry utworzył z rąk swych rodzaj drabiny i w ten sposób wylazł Holmes na jego plecy i wyciągnął ostrożnie głowę w krąg światła padającego przez szybę. Cień jego padał przez okno do pokoju, ale ten, który był w salonie, nie zauważył tego. Siedział na fotelu i głowę oparł na prawej dłoni.

Był to baronet Norfolk, który pogrążony w własnych myślach — siedział sam w tym wielkim po-

koju. W świetle elektrycznem rysowała się wyraźnie barczysta jego postać.

Nagle otworzyły się drzwi w tylnej ścianie. Do pokoju wszedł olbrzymiej postawy człowiek w długim podróżnym płaszczu i kapeluszu silnie na tył głowy wciśniętym.

Szerlok Holmes widział oczy ponuro płonące, wąskie — ostro zarysowane usta, gładko wygolony podbródek, trochę kanciasty i wystający silnie, w czem zdawał się z nosem współzawodniczyć.

Nie był to człowiek zupełnie brzydki, ale w najwyższym stopniu niesympatyczny. Szerlok Holmes napróżno łamał sobie głowę, gdzie mógł to wygolone indywiduum już raz widzieć?

Norfolk zerwał się, gdy wszedł obcy. Podszedł kilka kroków naprzeciw niego i zrobił prędki ruch ręką do kieszeni, jakby coś chciał schować i zawołał:

— Jakto? Znowu tu jesteś?

Obcy zaśmiał się chrapliwym głosem.

— Yes!.. Znowu tu jestem! Umarli żyją i wracają na ten świat! Fred! Bądź mężczyzną i nie trać słów na darmo! Dostałeś list od niej?

Baron wahał się z odpowiedzią.

— Tak! — odpowiedział wreszcie z przymusem.

— No, a teraz mów prędko! Co jest w tym liście?

— Że jest już w Londynie, że mnie chce odszukać, rozmówić się ze mną i że będzie broniła praw swoich!

Nocny gość przyćmił światło elektryczne, tak, jakby się bał, by go ktoś z zewnątrz nie widział, potem zaczął się niespokojnie przechadzać po pokoju, a dyabelski jakiś uśmiech okrążył mu usta.

— Można sobie myśleć! — mruknął — Dyabeł jakiś musiał jej prawdę wyjawić. No, sprawa załatwiona!

Baron się wzdrygnął i podniósł zmęczone, ponuro pałające oczy na obcego.

— Jaka sprawa?

— Sprawa z owym listem! — odpowiedział drugi obojętnie.

— Jak to rozumiesz? — zapytał Norfolk prawie z trwogą — Ona nie przyjdzie!

Drugi zaśmiał się głośno,

— Nie, ona nie przyjdzie, możesz być pewny.

Baronet przystąpił całkiem blisko do niego.

— Czy wiesz, gdzie ona przebywa? Ty przecież chyba nie powiedziałeś nic, nie uczyniłeś nic — — Mów! odpowiadaj!

— Idyotyzm! Zostaw już raz na boku te czcze gadaniny! Kto powie „a“ ten musi „b“ powiedzie, a zresztą bądź kontent! Bądź kontent, że inni działają za ciebie i nie potrzebujesz nad niczem wysilać pustej twojej mózgownicy!

Baronet rzucił się gwałtownie na fotel.

— No tak, to prawda!... Jestem ci winien wdzięczność, ale mimo tego czuję wyrzuty sumienia!

— Co? ha! ha! ha! To wyborne! Wyrzuty sumienia przy boku takiej kobiety, jaką ty posiadasz!..

Baronet siedział skulony w fotelu. Teraz podniósł cokolwiek głowę i spojrzał na niego zezem.

— Prawdę mówisz! Kobieta ta, która opanowała wszystko, co tylko na drodze spotkała! Mnie nawet! Przy jej dzikich pocałunkach zapominam o wszystkiem! Życie moje jest jednym nieprzerwanym stanem upojenia i podniecenia, odkąd ją poznałem, a przecież — —

Urwał i zapadł znowu w ponurą zadumę.

— Tylko bez frazesów! — rzekł nieznajomy niecierpliwie. — Musimy to raz skończyć! Tu nie ma wyjścia!

— Skończyć? O! nie! nie! Nie położę ręki do drugiej zbrodni!

Brutalny śmiech był odpowiedzią.

— O! ty głupcze! Czy myślisz, że z powodu twego tchórzowstwa pozwolimy się pozbawić owoców naszego zwycięstwa? Musisz iść nam na rękę! Czy to rozumiesz?! Musisz!... Nie ma już dla ciebie innego wyjścia! A jeżeli robisz taką minę, jakbyś zamierzał jakieś głupstwo popełnić, to my potrafimy cię zmusić!...

Jak czart wcielony stał człowiek w płaszczu przed baronetem. Ten zagryzł wargi, a głęboka fałda pojawiła mu się na czole.

Teraz dopiero zauważył Szerlok Holmes po raz pierwszy, jak znacznie baronet się postarzał.

Widział dokładnie, że bał się obcego.

Nagle podniósł się. Stanął prosto przed niemiłym gościem, któremu był równy wzrostem i rzekł groźnie:

— Dotychczas jeszcze nie zmusił nikt do niczego żadnego z baronów Norfolk! Ja miałbym być pierwszym? O! nie! nie będę nim!

— Będziesz! – zawołał drugi – Moje słowo na to!

Z temi słowy wyciągnął gwałtownie pistolet z kieszeni i skierował go w skroń baroneta. Już zamierzał Holmes wtargnąć do pokoju, aby zapobiedz zbrodni, gdy nieznajomy opuścił rękę z bronią. Baronet cofnął się ze strachem.

— Czy chcesz gwałtu? — zapytał pobladły.

— Jak widzisz!... A teraz daj mi list, który otrzymałeś!... Ten list musi być zniszczony!

Ale baronet trzymał ręce w kieszeniach.

— Nie dam go!

— W takim razie przeczytaj mi go przynajmniej!

Baronet wyjął list z kieszeni, ale zanim go czytać zaczął, obcy, niby ptak drapieżny, wyrwał mu z rąk papier.

Baronet pchnął go pięścią w piersi i usiłował przyjść napowrót w posiadanie listu.

Ale drugi zmienił nagle taktykę. Stał się nagle uprzedzająco grzecznym i uprzejmym i układnym jak tygrys. Zasypał Norfolka całą powodzią słów. Holmes, stojąc na dworze, nie mógł nic z tego zrozumieć.

Baronet słuchał go w milczeniu, ze spuszczoną głową. Wreszcie wstał i wyszedł z pokoju, w którym pozostał tylko nieznajomy.

Ten usiadł teraz w fotelu i wziął się do czytania listu. Detektyw zauważył, że człowiek ten ma na średnim palcu prawej ręki pierścień niebywałej wielkości. Była to złota obrączka z dyamentem tak dużym, że trudno było przypuścić, aby kamień ten był prawdziwy. W przeciwnym razie wartość jego dochodziłaby milionów.

Teraz nadeszła dla Holmesa chwila stanowczej interwencyi. Zeskoczył z bark Taksona, pobiegł naokoło i przez szklanne drzwi dostał się do pokoju.

Na ten szelest obejrzał się nieznajomy, a gdy ujrzał zielone źrenice detektywa, wlepione w siebie, jakby domyślając się, czego chce ten człowiek — zerwał się i błyskawicznym ruchem rzucił trzymany w ręku list — na płonący ogień w kominku.

Detektyw zaklął głośno i w tej chwili rzucił się nieznajomy na niego z wymierzonym rewolwerem.

Ale przytomny zawsze Holmes podbił mu rękę z bronią i wymierzył potężny cios w piersi, wskutek którego napastnik zatoczył się pod ścianą. Równocześnie Harry wpadł do pokoju. Nieznajomy rzucił się na niego, przewrócił go i zanim Szerlok Holmes mógł go był ująć — wybiegł drzwiami do ogrodu.

Obydwaj detektywi wybiegli za nim, a następnie jak dwa nocne koty zaczęli skradać się za nim.

Ścigany wymknął się przez furtkę, którą zatrzasnął za sobą. Detektywi przesadzili balustradę i wybiegli za nim na ulicę, a ścigali go, nie będąc sami przez niego widziani.

On wskoczył do odchodzącego pociągu miejskiej kolei, w ostatnich wagonach znaleźli detektywi miejsce dla siebie.

Na czwartej stacyi nieznajomy wysiadł, a Szerlok Holmes i Takson skonstatowali, że wszedł do jednego z owych szarych, starych domów w północnym Londynie.

ROZDZIAŁ II.

Szczególniejsze odkrycia.

Przez kilka sekund wahał się Szerlok Holmes.

— Pozostań tu! — rzekł do Taksona — Ale gdy gwizdnę, lub posłyszysz wystrzał, pospieszaj za mną! We dwójkę trudniej byłoby nam coś zdziałać, chcę więc sam spróbować!

Przy pomocy wytrychów dostał się do wnętrza domu i skonstatował, na które piętro i w które drzwi wszedł nieznajomy.

Przeczekał z dobre pół godziny, poczem zaświecił latarkę elektryczną i przy świetle jej przeczytał na drzwiach szyldzik:

Rafaelo Araref
urzędnik banku.

Z największą ostrożnością otworzył i te drzwi małym wytrychem — i wszedł.

Mieszkanie było urządzone z wielkim gustem i komfortem, z większym nawet, niżby pozwalały na to środki zwykłego urzędnika bankowego.

Podłoga była pokryta puszystymi dywanami, portyery miały purpurową barwę, meble były masywne i mówiły o tem, że właściciel ich jest zamożnym dżentelmenem.

Kocim krokiem skradał się detektyw po mieszkaniu.

Zatrzymał się. Z sąsiedniego pokoju dochodził regularny oddech śpiącego człowieka.

Tylko wytrawny złodziej lub znakomity detektyw mógł był z taką pewnością poruszać się po cudzem mieszkaniu w nocy.

Holmes otworzył biurko wytrychem, ale nie znalazł w niem nic, coby go zadowolnić mogło. Głupie listy kobiet, rachunki i t. p. Z nich nie można było nic absolutnie wywnioskować o stosunku baroneta Norfolka z owym człowiekiem.

Pokręcił głową i zacisnął wargi. Potem przeszedł do sąsiedniego pokoju — prawdopodobnie salonu Ararefa — i obejrzał się.

Na ścianie wisiało kosztowne malowidło. I tutaj podłoga była pokryta dywanem. Pod ścianą stała turecka otomana. Przy świetle lampy przypatrywał się Szerlok bacznie tej otomanie, pokrytej jaskrawym, cudnych barw dywanem. Nagle spostrzegł Holmes na niej dwa długie jasno-blond włosy...

Włosy kobiece!!...

Były one tak długie, że sięgały właścicielce swojej przynajmniej po biodra. Na poduszkach były ślady, że ktoś na kanapie spoczywał.

Chwilę stał Holmes i myślał.

Przeszukał następnie wszystki meble i zakątki pokoju — i nic nie znalazł. I znowu stanął przed otomaną.

I cóż mogło naprowadzić na domysł, że spełniono tu zbrodnię? Czyż nie mogła ta kobietą być kochanką nędznika?... Ale ten list, tajemniczy list i zagadkowe zachowywanie się Norfolka, jeszcze dziwniejsze wystąpienie Ararefa. — — —

Holmes wziął pod pachę poduszkę, na której widocznie niedawno jeszcze głowa tej kobiety spoczywała i z latarką w ręku zabrał się do wyjścia.

Na dole oczekiwał go z niecierpliwością Harry.

— No! mistrzu! I cóż znalazłeś?

— Dwa włosy blondynki!

Harry otworzył szeroko usta ze zdziwienia. Dwa włosy kobiety? No, teraz można jej szczęśliwie szukać po całym Londynie! Holmes był bardzo skąpy w słowach i napróżno zasypywał go Harry całą powodzią słów i pytań.

W domu przebrał się Holmes w turecki szlafrok, zapalił ulubioną fajeczkę i położywszy się na otomanie dumał w półmroku lampy.

Nagle gwizdnął przez zęby.

Drzwi sąsiedniego pokoju się otwarły i Juno, kudłaty pies Holmesa, przyskoczył do detektywa. Polizał pana swego w rękę i ułożył się u nóg jego. Na ulicach zamarł ruch zupełnie, w mieszkaniu panowała niezmącona niczem cisza.

Harry siedział naprzeciw swego mistrza, ukrywszy głowę w dłoniach.

Po chwili rzekł wielki detektyw.

— Dyabelnie ciemna sprawa, nieprawdaż Harry?

— Well! mr. Holmes! Zdaje mi się, że tańczy koło nas niezliczona ilość błędnych ogników. Mam nadzieję, nie wywiedzie nas na bagna.

Szerlok Holmes uśmiechnął się.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że nie przypuszczasz tu wcale możliwości zbrodni?

— Nie, mistrzu! Nie odważyłbym się tu stwierdzić tego, gdy ty sam wysilasz genialną swoją głowę na wyszukanie związku z zagadkowemi i niepowiązanemi z sobą zdarzeniami dnia wczorajszego. Krwawy sztylet jest bardzo wymowny. Szczególne zachowanie się lady Norfolk, w której dopatrujesz takiego podobieństwa z Lukrecyą Borgią, utwierdziła mnie poniekąd w strasznych podejrzeniach. A potem słowa tego obcego w salonie Norfolka. — — — Ów list rzucony tak prędko w ogień — — — Jest to szereg zagadnień, którym należy pilną baczność zwrócić!

— Tak jest!.. Nie jestem jednak zupełnie z myślami memi w zgodzie. Ten Rafaelo Araref, to jest numer, który mnie nadzwyczaj zainteresował! Już raz go gdzieś widziałem. Było to w jakiejś londyńskiej restauracyi. Siedział tam br. Norfolk, ten człowiek i jakaś młoda dziewczyna, która, jak mi mówiono, miała być siostrą baroneta. Wtedy nie zwracałem na to najmniejszej uwagi. Teraz jednak nic nie wiem o tem, by Norfolk miał jakąś siostrę. Gdyby jednak tak było — — dla czegóż nie była na wczorajszej zabawie? Dlaczego dotychczas nie słyszeliśmy nawet nic o niej?

Harry skinął głową, ale w tym labiryncie domysłów nie mógł się absolutnie zoryentować.

Szerlok Holmes strawił noc całą leżąc na kanapie i myśląc. Zrana wypił kieliszek francuskiego koniaku, potem się umył i ubrał do wyjścia.

— Dobrze będzie, jeżeli zostaniesz w domu mój Harry! — rzekł — po pierwsze, że dwóch ludzi może być tam za dużo, po wtóre nie chcę, by nasze mieszkanie było ustawicznie próżne.

— Allright! mr. Holmes! — odpowiedział Harry z kwaśno-słodkim uśmiechem, gdyż nie było wcale po jego myśli siedzieć z założonemi rękoma właśnie wtedy, gdy afera zaczynała być tak bardzo interesującą.

Szerlok Holmes dał obwąchać psu poduszkę, który z zapałem rzucił się na nią i dokonawszy dokładnie swoich psich oględzin z przeraźliwym

szczekaniem rzucił się do drzwi i zaczął skrobać ziemię łapami.

Holmes wziął psa na smycz i udał się z nim do domu urzędnika bankowego.

Ale pies rwał się tak gwałtownie na ulicy, że detektyw spuścił go ze smyczy i poleciał w miasto. Ile sił tylko miał w nogach, biegł detektyw za nim. Nad Tamizą przy jednym z wielkich prywatnych domów, pies się zatrzymał i zaczął drapać do bramy. Holmes zauważył na domu szyld:

TOM WILKINS
FRYZYER.

Żelazna żaluzya była zapuszczona na drzwiach sklepu.

Z sąsiedniego sklepu wyszedł jakiś człowiek i zapytał:

— Czy pan chcesz do Wilkinsa?

— Yes!

— Przychodzisz pan w takim razie za późno! Pogrzeb Wilkinsa był wczoraj: Otrzymał uderzenie w głowę, Bóg raczy wiedzieć od kogo i za co?

— Tak? W takim razie pójdę się gdzieindziej ogolić!

Zawrócił i udał że idzie w przeciwnym kierunku, w rzeczywistości okrążył cały kompleks domów i przyszedł z drugiej strony pod sklep fryzyera.

Obejrzał się. Ciekawy sąsiad znikł i nikt nie widział teraz detektywa. Zdecydowany na wszystko otworzył Holmes drzwi wytrychem i zniknął za niemi. Szerlok Holmes pośliznął się w kałuży krwi — — Juno pospieszył za swoim panem:

— — — — — — — — — — — —

W godzinę wrócił Holmes do domu bez tchu prawie.

— Harry! Czy pójdziesz ze mną na pewną wizytę bardzo interesującą?

— Ależ mistrzu! Drżę cały z niecierpliwości, by się wreszcie czegoś dowiedzieć! Czy odkryłeś już co? — —

Wkrótce zawiózł ich automobil przed wspaniały pałac. W przedpokoju na I. piętrze oddał detektyw służącemu swą kartę wizytową i rzekł:

— Chciałbym mówić z p. dyrektorem Hopkinsem!

Służący skłonił się i wyszedł a obydwaj panowie usiedli w poczekalni na aksamitnej, purpurowej sofie.

Za chwilę powrócił fagas, otworzył drzwi i rzekł uroczystym głosem:

— Pan dyrektor prosi panów!

Panowie weszli do pięknie urządzonego salonu przyjęć pana dyrektora jednego z większych banków londyńskich. Na widok przybyłych powstał i odłożył słuchawkę telefonową, którą właśnie trzymał przy uchu.

— Poczytuję to sobie za zaszczyt, panie Holmes. — — —

Ale detektyw skinął ręką.

— Proszę! Mam panu kilka ważnych wiadomości udzielić. Czy mogę zadać jedno pytanie?

— Proszę bardzo, panie Holmes! Pytaj pan! Jestem cały na usługi pańskie.

— Pan masz kochankę, panie dyrektorze?

Dyrektor zmieszał się nieco i spojrzał z głupią miną najpierw na Holmesa, potem na Taksona, wreszcie na polstrowane drzwi, za któremi zniknął służący i rzekł wreszcie z wahaniem:

— Czy musisz pan to koniecznie wiedzieć, panie Holmes?

— Bardzo radbym, panie dyrektorze, dowiedzieć się o tem z własnych ust pańskich. Zresztą wiem już! Wobec tego nie potrzebujesz mi już pan odpowiadać na moje pytania.

— Ależ panie Holmes! O tem nie wie żadna żywa dusza w Londynie. Czy pan jeden jesteś wszystkowiedzącym?

— Być może! Czy pan jesteś pewnym jej wierności?

— Ależ panie Holmes! To dziewczyna wierna jak złoto! Istota, jakiej równej nie ma na świecie! Ale dlaczego pan o to pytasz? Co się stało? Przecież nie jest ona chyba w związku z jakąś kryminalną historyą?

— Niestety! Muszę panu powiedzieć, że właśnie rozchodzi się tu o zbrodnię!..

Mr. Hopkins nie dał dokończyć detektywowi. Był to mały tłusty człowieczek z długiemi bakenbardami i wyglądało to bardzo komicznie, gdy trzepiąc rękami zaczął zrozpaczony biegać po pokoju.

— Zbrodnia? Mówisz pan zbrodnia? Ewelina i zbrodnia? Ależ to niemożliwe! Ona, taka łagodna, czuła istota! Onaby krzywdy musze nie zrobiła! Nie, nie, panie Holmes! Tym razem pomyliłeś się pan z pewnością!

— Ta dama — ciągnął Holmes nie zważając na paplaninę starego — zajmuje bardzo elegan-

ckie mieszkanie na III piętrze w pańskim domu. Czy tak?

— Tak jest, tak! — Mr. Hopkins zrobił strasznie głupią minę i rozwarł oczy szeroko — Na miłość Boską! mów pan ciszej! Uchodzę za purytanina, i gdyby się kto dowiedział, całą moją reputacyę dyabli wezmą! A ja tak bardzo dbam o dobrą sławę!

— Jest to wielka cnota, jaką — niestety! — nie odznacza się panna Ewelina! – zauważył Holmes ironicznie — Ukrywa ona mianowicie w przepięknej, starowłoskiej szafie — człowieka!!..

Gdyby jasny piorun uderzył do gabinetu dyrektora, nie mogłoby to większego na nim wrażenia sprawić, jak to, z jakiem przyjął słowa Holmesa. Upadł ociężale na fotel i patrzał osłupiałym wzrokiem na detektywa.

Nareszcie odzyskał mowę.

— Osoba, to znaczy, jak słyszałem — osoba? W szafie na bieliznę? I to naprawdę osoba — może kochanek?! O! Sodomo i Gomoro nad Tamizą!

Czy jest podobieństwem znaleść uczciwego człowieka w tem przeklętem mieście?! A więc i Ewelina kłamie? A ja jej tak wierzyłem! Czyż tylko ja sam jeden jestem uczciwym człowiekiem na świecie?! Osoba w szafie od bielizny?!...

Skoczył nagle i wywijając ramionami przed oczyma detektywa, krzyczał jak szalony:

— Słuchaj pan, panie Holmes! To być nie może! Po pierwsze nie może nikt wejść do jej mieszkania bez mojej wiedzy! Po wtóre nie wiem, jak pan mogłeś na to przyjść, ponieważ ja i Ewelina nie opuszczaliśmy wczoraj wcale mieszkania!

— To zgadza się — odrzekł Holmes — Słyszałem nawet z gotowalni tej damy pański i jej głos.

Dyrektor Hopkins zbladł jąk trup.

— T-a-a-a-a-k? Pan — słyszałeś wszystko, wszystko cośmy mówili?

— Wszystko, panie Hopkins!

— To jest ohyda!

— Jak pan tam chce! Ale do rzeczy! Twierdzę, że w rzeźbionej starowłoskiej szafie na bieliznę znajduje się trup kobiety!

Dyrektor drgnął na fotelu. Oddychał ciężko zimny pot wystąpił mu na czoło.

Chwilę panowało grobowe milczenie, podczas którego Holmes patrzył obojętnie na szpice swych butów, a Harry napróżno łamał sobie głowę nad tem, w jaki sposób porobił mistrz tak straszne odkrycia?

— Tru--tru-trup?!... W szafie na bieliznę? To niemożliwe, panie Holmes!

— A jednak — jest tak!

— A czy już pan widziałeś tę szafę?

— Yes! Jest cała rzeźbiona, po lewej i po prawej stronie klęczą obok słupów aniołowie! Czy tak jest istotnie?

Dyrektor zerwał się z fotelu i zaczął szybko biegać po pokoju.

— Nie do wiary! Pan rozporządzasz chyba nadprzyrodzonemi siłami!

— Gdyby tak było, nie potrzebowałbym z takim trudem nieraz wykrywać zbrodnie!

— I pan podtrzymujesz swoje twierdzenie?

— Nie cofam nigdy tego, co raz powiedziałem, panie Hopkins, i proszę pana teraz o zaprowadzenie mnie do pokoju miss Eweliny.

Dyrektor przeciągnął nerwowo dłonią po gładko wygolonym podbródku, zerwał się i zadzwonił.

Gdy wszedł służący, rzekł Holmes:

— Leć do pani Rivoli i proś ją uprzejmie, by zechciała się zaraz pofatygować do mnie w sprawie niesłychanie ważnej!

Służący ukłonił się i wyszedł.

Z pobladłą twarzą zwrócił się mr. Hopkins do detektywa.

— Ale nie sądzisz pan przecie, że i ja sam — Panie Holmes, przecież mnie pan nie ugotujesz w tym bigosie?! Moja reputacya — — —

Holmes nie odpowiedział nic na to. Tymczasem, zapukawszy, weszła do pokoju pani Rivoli. Dyrektor Hopkins po prostu waryował wobec milczenia detektywa.

Pieniąc się z wściekłości, krzyknął na służącego, zamykającego właśnie drzwi za panią Rivoli

— Natychmiast zawiadomić policyę! Nie chcę nic bez wiadomości policyi robić! Ta straszna tajemnica musi być wobec całego świata wyjaśniona! Co mnie zresztą obchodzi ta cała historya? Ja jestem mr. Hopkins, a tu jest pani Rivoli. Jeżeli pani Rivoli przechowuje trupów po szafach, to cóż to może mnie, gospodarza domu, obchodzić?!

Służący — nie wiedząc co o tem myśleć — pospieszył z uwiadomieniem do policyi. Tymczasem pani Rivoli stanęła na środku, pokoju mierząc wszystkich trzech mężczyzn z pomięszaniem pewnem, ale zarazem i arogancyą.

Była to ciekawa w swoim typie kobieta. Podwójnie piękna, bo wiedziała w jaki sposób uwidocznić i utrzymać swą urodę.

— Ależ kochany panie Hopkins — zaczęła łamaną angielszczyzną – o co tu się idzie? Co uczyniłeś mój dobra człowieka?

Ale mr. Hopkins zapomniał zupełnie o miłości wobec obawy, że owym trupem w szafie swej kochanki może być skompromitowanym!

Spojrzał na nią z nienawiścią prawie i wrzasnął:

— Odkąd przechowujesz pani trupy w swoich szafach?!

A gdy Francuzka oniemiała z przestrachu, zwlekała z odpowiedzią, dodał, by nie dać jej możności „wsypania“ go:

— Zabraniam pani tego! Czy mnie rozumiesz?! Coś podobnego nie może dziać się w moim domu pod żadnym warunkiem! Dyabli wiedzą, w jaki sposób przyszłaś pani do posiadania tego trupa!? Czy może jaką pokojówkę trafił szlag u pani? A może jesteś zbieraczką trupów? Winszuję gustu! A może i pani waryatka, może zbrodniarka — — niech panią dyabli wezmą! To jest przyzwoity dom, a ja jestem dyrektor Hopkins, człowiek znany, szanowany, czczony, na rękach noszony — — a pani jesteś — — —

— Twoją kochanką! – odpowiedziała Francuzka

A potem zwróciła na Holmesa swe kocie oczy, w których paliła się nieprzebłagana nienawiść.

— Ja nie pomylić się, jeżeli myśleć, że pan wykłuwać podobne bajki!... Pan się wstydziła lepiej trochę! Czy pana błazen, czy sam zbrodniarz? Ja mam chować trupa. Ja jestem dama z Paryża i wiem co się wolno, a co się niewolno! Protestuję z energią i zażądać rewanż! rewanż! Pan mnie rozumiała, głupa bestyo?

Niemiła ta scena ukończyła się z wejściem kilku konstablów.

Dyrektor, który bez powodu wściekał się na Holmesa, kazał konstablom zaprowadzić go na III. piętro. Pani Rivoli była bajecznie urządzona. — Szafa o której mówił Holmes, stała rzeczywiście w gotowalni Francuzki, tak wielka, że zajmowała całą prawie ścianę, opatrzona zaś była dwoma potężnemi skrzydłami drzwi ozdobionych pięknemi rzeźbami.

Była chwila ogólnego naprężenia, gdy na żądanie mr. Hopkinsa otworzyła pani Rivoli szafę.

— To jest niemożliwe, zupełnie niemożliwe! — szeptał dyrektor, obcierając pot z czoła, poczem rzekł do stojącego na przedzie konstabla:

— Ja nie znam wcale tej pani! Straszna rzecz, co za okropnym nieprzyjemnościom jest na łup wydany właściciel domu! A jeszcze ten Paryż! Wszystkie grzechy wędrują do nas z Paryża!

Klucz zazgrzytał w zamku i powoli otworzyła się szafa. Kilka sekund trwało grobowe milczenie. Sześć par oczu utkwiło w wnętrzu szafy.

W środku leżały — owinięte w białe płótno — zwłoki pięknej, złotowłosej dziewczyny... A może była to kobieta... Nikt jej nie znał. Była zimna i sztywna.

Z wyrazem obłędnego przestrachu i zwątpienia na twarzy zatrzasnęła pani Rivoli drzwi szafy i sama odskoczyła.

Szerlok Holmes nachylił się do Taksona i szepnął mu w ucho:

— Leć na ulicę. Stań na rogu. Skoro tylko zobaczysz, że jacyś ludzie niosą coś — zrób alarm!... Strzelaj! Zastrzel wszystkich, ale nie dopuszczaj do niczego więcej!

Harry nie rozumiał ani słowa. Ale przyzwyczajony do ślepego posłuszeństwa najciemniejszym rozkazom swego mistrza — pobiegł jak burza na dół.

Całe straszliwe zajście przeszło jak wizya. Dyrektor Hopkins zasłonił sobie twarz rękoma i chciał uciekać, ale konstabl go zatrzymał.

— Wybacz pan, panie Hopkins! Czy tu jest mieszkanie pani Rivoli? Nieprawdaż?

— Yes!... pani Rivoli!... Dyabli wiedzą, co tu zaszło na górze? Przwdopodobnie ma kochanków ta pani Rivoli! Ja jestem purytaninem, mnie zna Londyn cały! Ja nie mam nic wspólnego z tą całą historyą!

Urzędnik odstąpił salutując, ale pani Rivoli, która widziała, że dyrektor Hopkins chce ją z całą bezwględnością wydać czy zdradzić, skoczyła jak kotka.

— Co? pan być purytanem? Jesteś pan zły człowiek! Chciałeś powiedzieć, że ja być morderca od tej młodej dziewczyna? Pan zawsze byłeś tu u mnie. To pan zrobiłeś! Pan ją zabiłeś! Pan ją ukryłeś do tej szafy tak, żebym ja nic nie wiedziała!

Powstała ordynarna, niesmaczna sprzeczka, w rezultacie jednak konstabl oświadczył panu dyrektorowi, że na razie nie może opuścić pokoju, aż do dalszych rozporządzeń władzy.

Wkrótce zjawił się komisarz policyi i zażądał od pani Rivoli w urzędowym tonie otworzenia szafy. W tej chwili ujrzał Holmesa i rzekł do niego cokolwiek podrażniony:

— Dlaczego się pan śmiejesz, panie Holmes?

— Ponieważ sądzę, że trupa niema już w szafie!

— Pan raczy żartować sobie ze mnie? — odpowiedział komisarz zbity z tropu, a konstabl dodał:

— Jest to zupełnie wykluczone! Chybaby w tem czary były, bo nikt z nas nie wydalał się z tego pokoju!

— Jest jeden człowiek, który mógłby tego dokonać — rzekł konstabl z wahaniem, spoglądając na Holmesa.

— Pańscy urzędnicy mogą poświadczyć, że człowiek ten podobnie jak i oni nie wychodził z tego pokoju!

— W takim razie drwisz pan po prostu ze mnie! — odpowiedział urzędnik zgryźliwie — — w tej chwili drzwi szafy się otwarły.

Trupa ani śladu nie było!...

— A ja twierdzę, że mr. Holmes jest wtajemniczony w tę dyabelską historyę! — zawołał dyrektor Hopkins. — On mnie z góry uprzedził, że w szafie tej pani trup się znajduje!

Szerlok Holmes nie raczył nawet odpowiedzieć. Wstał z fotelu, przecisnął się i skinąwszy obecnym niedbale głową — wyszedł wraz z Harrym.

Panią Rivoli zatrzymano w areszcie śledczym, pomimo jej łez i energicznych protestów. Dyrektor Hopkins został po krótkiem przesłuchaniu wypuszczony na wolną stopę, po złożeniu odpowiedniej kaucyi.

ROZDZIAŁ III.

Tajemniczy trup.

Harry czekał niecierpliwie swego mistrza na ulicy. Ludzi niosących jakikolwiek pakunek nie widział przez ten czas wcale.

Gdy byli w domu zapewnił go detektyw, że ludzie ci obawiali się snać dziennej jasności, ale z nastaniem nocy zjawią się tam z pewnością z swoim transportem i tam też ze zmierzchem postanowił wielki detektyw ich oczekiwać. Przedtem jednak jeszcze postanowił wraz z Harrym złożyć wizytę fryzyerowi Wilkinsowi.

— Wilkins... Wilkins... — mruknął Harry. — Zdaje mi się, że czytałem niedawno o jego zamordowaniu. Tak jest! Słusznie! Teraz przypominam sobie. Interes jego jest w blizkim sąsiedztwie z pałacem Hopkinsa!

— Tak jest, ten sąsiedni dom jest własnością angielskiego arystokraty i sportsmena, lorda Rosebery!

— Ach! Czy ten dom jest zamieszkały?

— I tak i nie! Lord bawi od roku za granicą, w kamienicy niema nawet stróża. Wszędzie kurz, śmieci i nieporządek. Tylko na III piętrze są pokoje czysto i bez zarzutu utrzymane. Znać zaraz w tem rękę kobiecą.

— I któż tam mieszka? — zapytał Harry z niecierpliwą ciekawością.

— Właściwie nikt!... Czasowo zajmuje tam apartament Rafaelo Araref!

— Tam do dyabła!...

— Dostep do tego mieszkania ma drogę, którą wkrótce poznasz! To bardzo niebezpieczny człowiek ten Rafaelo Araref. Najwyższy czas zająć się nim!

— Ależ pan mówiłeś przed chwilą o jakiejś kobiecej ręce. Czy Rafaelo Araref mieszka tam ze swoją kochanką?

— Tak jest!

— Cóż to za jedna?

— Któżby inny, jak nie pani Rivoli?!

Harry oniemiał.

— Pani Rivoli? — zawołał wreszcie. — Przecież słyszeliśmy, że dyrektor banku strzegł ją argusowemi oczyma. Kobieta ta nie mogła nawet wyjść z domu bez jego wiedzy!

— Well! Wychodzić też wcale nie potrzebowała. Poprostu nacisnęła jeden guzik, tylna ściana szafy obróciła się dookoła swej osi, a ona przełaziła przez wielki otwór w murze do mieszkania swego kochanka.

— Niech pioruny trzasną! Teraz rozjaśnia mi się w głowie! I oni oboje ukryli potem trupa w szafie?

— Przypuszczam, mój Harry, że zrobił to tylko sam Araref. Pani Araref nie jest — mojem zdaniem wcale winna. Co się tyczy zniknięcia zwłok, to muszę przyznać, że częściowo ja w tem winę ponoszę, ale w taki sposób, że nikt mi z tego zarzutu zrobić nie może. A mianowicie: Dzisiaj rano w towarzystwie Juna wtargnąłem do domu Rosebery'ego lub Ararefa, jak wolisz. Znalazłem otwór w murze i guzik, za pociśnięciem którego usuwa się tylna ściana w szafie. Znalazłem zwłoki i miałem teraz dwie altarnatywy: Albo zrobić urzędowe doniesienie, albo przywłaszczyć sobie trupa.

Ani na jedno, ani na drugie nie zdecydowałem się. Nie chciałem zwłok oddać policyi, ponieważ zdaje mi się, że dostrzegłem w nich utajone znaki

życia. Na drugą rzecz nie odważyłem się, ponieważ nie chciałem działać wbrew ustawom, a wreszcie miałem zamiar zademonstrowaniem zwłok wykryć stosunek dyrektora i jego kochanki w odniesieniu do zbrodni. Jestem teraz przekonany, że Hopkins ani pośrednio, ani bezpośrednio nic wspólnego ze zbrodnią nie ma. Jest to człowiek udający nieskazitelnie cnotliwego, a grzeszący po cichu. Okazów takich mamy dosyć na świecie. Trupa wsadził tam Araref.

— Dziwi mnie tylko — rzekł Harry z namysłem,—że Araref wyszukał tak zdradliwą kryjówkę dla zwłok, mógł przecież przypuszczać, że pani Rivoli odkryje zbrodnię, gdy będzie chciała tajemnem przejściem dostać się do kochanka!

— Nie poznałeś tego człowieka tak, jak ja! Araref chciał się pozbyć swojej kochanki, którą poznał dyabli wiedzą gdzie? Dlatego umieścił w szafie swej kochanki trupa, by na nią ściągnąć podejrzenie spełnienia mordu. Pani Rivoli kocha tego łajdaka, czego najlepszym dowodem, że wolała raczej dać się zamknąć, niż dać wskazówkę władzy, że trup mógł się był i inną drogą dostać do szafy.

Są to oczywiście tylko moje domysły, ale przyznasz mi — nie pozbawione logiki!

Harry potrząsł gniewnie głową.

Szerlok Holmes podniósł się i rzekł:

— Czas, byśmy już szli!

Wieczorem, wśród mgły, w którą prawie ustawicznie jest Londyn spowity, zajechał Holmes wraz z swoim pomocnikiem na ulicę New Kent Road, a następnie przeszli piechotą w małą przecznicę, gdzie był sklep zamordowanego fryzyera.

Obejrzawszy się ostrożnie, otworzył Holmes wytrychem drzwi sklepowe i znikł za nimi wraz z Harrym.

W sklepie zaświecił gaz. Fryzyerskie lalki, z powkładanemi na głowę perukami, patrzyły na nich szklannemi oczami, mdła woń olejków i starych perfum, mięszała się z zapachem krwi.

Detektywi przeszli do sąsiedniej ubikacyi, którą stanowił długi, ciemny i wilgotny korytarz, nie mający żadnych drzwi, ani drugiego wyjścia.

Ale detektyw znał dobrze drogę, którą miał się udać. Na jednej ze ścian była widoczna rysa, biegnąca aż do samej podłogi. Holmes uklęknął i własnemi pielęgnowanemi rękoma pousuwał luźno leżące cegły. Przez zrobiony w ten sposób otwór powiało zimne, wilgotne powietrze.

Obydwaj mężczyźni przeszli przez otwór.

Weszli w korytarz, a stamtąd dostali się na trzecie piętro. Holmes otworzył drzwi — i obaj weszli do mieszkania.

Aczkolwiek już mieszkanie dyrektora Hopkinsa było z wytwornym gustem urządzone, to zbytek, który tu przed ich oczami się roztoczył — przechodził wszystkie pojęcia. Ale znajomi nasi nie mieli czasu podziwiać. Przeszli przez dwa pokoje. W trzecim pokoju, znaleźli otwór w ścianie. Byli więc u celu swych poszukiwań. W wielkim wydrążeniu kominka, w którym od wielu już miesięcy nie palono — leżała tajemnicza, piękna dziewczyna, o długich, jasnych włosach.

W milczeniu wyjęli zwłoki z kominka, zawiązali w miękki kobierzec i razem ze swoim ciężarem opuścili mieszkanie tą samą drogą, którą przyszli.

Wyszli sklepem fryzyera, a zamknąwszy wytrychem żaluzyę od ulicy, powrócili automobilem do domu, gdzie mieszkał Szerlok Holmes ze swym pomocnikiem.

Harry zaświecił elektryczne światło i obydwaj, niosąc ostrożnie umarłą, udali się do laboratoryum wielkiego detektywa.

Była to uboczna, wysoka sala na parterze. Wszędzie stały i leżały reporty i epruwetki, tygle do topienia i wielkie szklanne naczynia, elektryczne lampy, małe piecyki i t. p. przedmioty — świadczące o tem, że Szerlok Holmes oddawał się poważnym studyom fizyki i chemii.

Przy tylnej ścianie stała olbrzymia szafa z naczyniami chirurgicznemi, służącemi do operacyi. Przez kryształową szybę widać było mnóstwo rozmaitego rodzaju i kalibru flaszek. Każda z nich miała etykietę z napisem i trupią główką.

Była to szafa 24 trucizn, w używaniu których był wielki detektyw mistrzem.

Sala była rzęsiście elektryką oświetlona, a podłoga kamienna.

Szerlok Holmes przystąpił do wielkiego stołu i na nim położył swój ciężar. Włosy prześlicznej martwej dziewczyny spływały obfitą jasną falą aż do samej ziemi. Oczy nieszczęśliwej były zamknięte, wargi na pół otwarte odsłaniały perłowe ząbki.

Holmes przysunął do stołu wielki fotel na kółkach, podparł głowę na lewej dłoni i patrzał długo, w milczeniu, na nieżywą.

— To jest tasama, którą widziałem raz w restauracyi w towarzystwie baroneta! — rzekł do Taksona. — Nigdzie nie spostrzegam rany, nigdzie śladów gwałtownej śmierci!

— A przecież ciało to jest bez ruchu, martwe, sztywne, zimne! — rzekł Harry. — Ona nie żyje, mistrzu!

— Jestem pewny, że umarłaby, gdybyśmy jej nie dali ratunku! Znajduje się ona bez kwestyi w stanie ciężkiej hypnozy.

Nagle drgnęła ręka detektywa. Po prawej stronie ciała ciągnęła się krwawa rysa.

— To krew! panie Holmes!

— Tak! ale spłynęła ona z obcej rany!

Z temi słowy przytknął Holmes do ust jej wielkie zwierciadło.

Obydwaj patrzyli z natężoną uwagą na powierzchnię szkła.

Delikatna, zaledwie dostrzegalna para ukazała się na lustrze.

— Żyje! Na Boga! ona żyje!—krzyknął Harry Takson z niekłamaną radością.

— Łotr chciał ją w ten sposób zabić powoli, by nikt nigdy nie dociekł przyczyny jej śmierci! — dodał Holmes. — Prawdopodobnie chciał ją żywcem pogrzebać!

Z temi słowami udał się do dużego aparatu, który znajdował się na bocznym stoliku. Była to elektryczna machina. Wprawił ją natychmiast w ruch i druty prowadzące od niej przeciągnął przez pokój i końce jej owinął o martwą, zwisłą dłoń dziewczyny.

I wtedy — —

Harry wydał radosny okrzyk, Holmes odetchnął z głębi piersi!... Martwa dziewczyna ożyła!...

Martwe rysy nabierały kolorów, oczy otwarła i błysk życia pojawił się znowu w źrenicach.

Nagle dziewczyna wydała przeraźliwy krzyk; ciało jej przebiegł dreszcz nerwowy. Oczy utkwiła w twarzy detektywa.

Ten odstąpił o krok wstecz.

— Czy możesz pani myśleć i odpowiadać?

Nie spuszczała z niego wzroku. Nagle rozśmiała się głośno. Śmiech jej rozległ się przykrem echem po sali.

Detektyw przygryzł wargi. —

Chwilę milczał, a straszliwy, obłędny śmiech nie milknął.

— Czy mi pani możesz powiedzieć, kto jesteś?

Zamilkła nagle. Zeskoczyła ze stołu i podeszła do Taksona.

— Kto ja jestem? — zapytała srebrnym, melodyjnym głosem. — Ja jestem Lahulahama, królowa indyjska!

Bolesny uśmiech przemknął przez oblicze Holmesa.

— A czy pani pamiętasz ostatnie straszne przejścia? Czy pani znasz człowieka, który —

Nieszczęśliwa przerwała mu.

— Człowiek, który — krzyknęła, drżąc cała.

Na chwilę powróciła jej przytomność, ale trwało to tylko chwilę — w tej chwili zaćmił się znowu jej umysł, oczy wyrażały bezdenny smutek i przygnębienie i straciły pierwotny blask podniecenia.

Wszystkie pytania detektywa były daremne. Raz śmiała się głośno, to znów płakała, raz uważała się za królowę kwiatów, to za umarłą, która już 1000 lat leży w grobie.

— Nieszczęśliwa jest pod wpływem hypnozy, która dopiero nadzwyczajnymi środkami da się usunąć.

Rozkazawszy Taksonowi, by na chwilę nawet nie opuszczał obłąkanej i dał jej zupełną swobodę chodzenia po całem mieszkaniu, opuścił Szerlok Holmes laboratoryum, zapowiadając, że wydala się z Londynu na dłuższy czas.

— — — — — — — — — — —

W domu baronów Norfolk było wspaniałe przyjęcie. Salony znowu zajaśniały rzęsistem światłem rozbrzmiewały tęsknemi tonami wybornej muzyki i wesołymi śmiechami gości,

Ogólną uwagę zgromadzonych gości zwrócił na siebie nowy przybysz, wstępujący właśnie w progi salonu.

Był to elegancki, niestary jeszcze człowiek, ale ze śladami zużycia w twarzy i w całej podstawie. Miał hiszpańską czarną bródkę, cerę twarzy śniadą i mocno przywiędniętą, sympatyczne stalowo-szare oczy, podkreślone sińcami. Wszedł niedbałym, chwiejnym nieco krokiem zblazowanego arystokraty.

Tak to charakteryzować się i zmieniać na zawołanie swą postać umiał genialny król detektywów!

— Ach, markiz Rochefort! — zawołała piękna gospodyni domu — sądziłam, że pan jeszcze w Indyach bawi!

— Skróciłem moją drogę i oto zjawiam się o trzy tygodnie wcześniej — rzekł markiz recte Holmes, cedząc słówko za słówkiem i ucałował z galanteryą podaną sobie rączkę.

Przywitanie z innymi gośćmi było serdeczne, częścią ceremonialnie, zależnie od stopnia zażyłości w jakim nowy gość pozostawał z towarzystwem.

Przy kolacyi, podczas której przygrywała wy-

borna domowa muzyka, panował nastrój niezwykle serdeczny i swobodny. Tylko lady Norfolk wydawała się jakoś dziwnie sztywną i nieswoją.

Od czasu do czasu rzucała przelotne, niespokojne spojrzenia na markiza.

— Zmieniłeś się pan, mój przyjacielu — mruknęła.

Siedział naprzeciw niej i nalewał sobie właśnie do szklanki szampana.

— Mam nadzieję, że zmieniłem się na korzyść — odparł z uśmiechem.

— I tak i nie — pańskie oczy — —

Markiz nie pozwolił jej zdania dokończyć.

— Indyjskie słońce — zawołał — zmienia wszystkich ludzi! nietylko zewnętrznie, ale i duchowo. Ach i ja miałbym dosyć tematu do opowieści godnych tysiąca i jednej nocy!

Lady spuściła szybko oczy na swój talerz. Mąż jej natomiast powiedział:

— Mój szwagier ucieszy się naprawdę, panie markizie, gdy tu pana zastanie!

Markiz spojrzał ze zdziwieniem.

— Pański szwagier? — zapytał.

— Mój brat! — odpowiedziała lady głośniej, niżby było potrzeba. — Oczekuję go od kilka dni — znajduje się w drodze powrotnej z Nowego Jorku! Napóźniej musi tu być we środę w Portsmouth.

Markiz uśmiechnął się.

Podczas kolacyi wydalił się markiz na pół godziny. Podszedł do telefonu i kazał się połączyć z biurem telegraficznem w Portsmouth.

Potem powrócił do towarzystwa. Lokaj nachylił się ku prawej jego stronie i podał mu ostatni półmisek.

Markiz utkwił stalowe swe oczy w wygolonej jego twarzy.

— Ale prędko powróciłeś pan z Ameryki! — rzekł cicho.

Lokaj zbladł jak płótno.

— Jakto? Co pan przez to rozumiesz?

— Rozumiem to, że nie uda się panu mnie oszukać! — odpowiedział markiz nakładając kawałek kurczęcia na swój talerz. — Dlaczego pan udajesz podróż do Ameryki, podczas gdy jesteś lokajem u Norfolka?

Służący spojrzał z przestrachem na niego, ale markiz pochylił znowu nad swoim talerzem.

Kolacya się skończyła.

Markiz de Rochefort udał się do pokoju lokaja i zaczął grzebać w wielkim kufrze, który otworzył wytrychem.

Podniósł do oczu mały kawałek białego papieru. Był krwią nasycony.

Chwilę utkwił ze zdumieniem oczy w znalezionym świstku, potem podszedł do stołu i długo i uważnie mu się przyglądał.

— Hm!... Z drugiej strony znajduje się trochę lepkiej ziemi i maleńki listek z kwiatka chryzantemy!

Skinął głową, schował papier do kieszeni, uporządkował cały pokój i wyszedł do ogrodu. — —

— Mam panu wiele do opowiedzenia, panie markizie! — rzekła lady Norfolk, spacerując ze swym gościem po alejach prześlicznego parku, oświetlonego teraz rzęsiście lampionami.

Markiz uśmiechnął się.

— O! ja Małgorzato, mam niejedno pani do powiedzenia. — Jak to długo nie widzieliśmy się?

— Całą wieczność, François! Lata całe upłynęły! Rozstaliśmy się w owym czasie, gdy zostałam żoną baroneta Norfolka! Wtedy byłam jeszcze panną Araref!...

Markiz milczał.

— To szczególne! — pomyślała lady — Dla czego on ustawicznie patrzy w ziemię?

— Podziwiasz pan nasz ogród, panie markizie?

— Tak! — odpowiedział tenże z roztargnieniem. — Teraz jest właśnie pora kwitnienia chryzantemów!

— Ach! podzielasz pan moje upodobanie? Pokażę panu całą grządkę tych prześlicznych kwiatów!

Gdy doszli, Szerlok Holmes schylił się nad grządką.

— To było tu! — rzekł do siebie.

Lady Norfolk spojrzała na niego zdumiona.

— O czem mówisz, markizie?

Ten utkwił w nią bystre swe źrenice i zapytał:

— Czy pani nic nie wiesz o tem?... A! tak! Może pani nie wie? — mruknął.

Potem wyciągnął wielki składany nóż z kieszeni i zaczął odkopywać ziemię tuż koło grządki.

Zmięszana, drżąca, patrzyła lady Narfolk na niego.

— Co pan czynisz, markizie?... na Boga!... to jest — —

Straszliwy krzyk rozdarł powietrze.

Słyszano pospieszne kroki gości, zwabionych krzykiem.

Markiz pokazywał w ręku szczątki trupa dziecka, liczącego przypuszczalnie nie więcej nad cztery lata.

Oparta na ramieniu swych przyjaciółek opuściła lady miejsce tego strasznego odkrycia. Panowie zgromadzili się około markiza. Baronet Norfolk krzyczał, nie! ryczał formalnie, ujrzawszy trupa dziecka.

— Wykryłem przypadkowo tę zbrodnię — rzekł markiz z żelaznym spokojem, który go nigdy nie opuszczał. — Sądzę, że trzeba dać znać policyi. Nie unoś się baronecie! Cały Londyn wie przecie, że pan dzieci nie masz! Zresztą niedługo jesteś pan żonatym! A więc cóż pana mogą obchodzić konsekwencye, jakie wynikną z mojego odkrycia?!

I markiz, którego demoniczny wpływ jakiś każdy z obecnych odczuwał, zawinął zwłoki dziecięcia w chustkę wyciągniętą z kieszeni fraka, ukłonił się lekko i opuścił willę, która już po raz drugi w tak krótkim czasie stała się widownią niepojętych, strasznych wypadków. —

Szerlok Holmes oddał policyi resztki zwłok dziecka, znalezione w ogrodzie.

Policya zarządziła natychmiast przeszukanie całego terenu. Nie znaleziono nic, a i bielizna dziecka nie dawała najmniejszych poszlak.

ROZDZIAŁ IV.

Grób Nr. 32, kwatera 17.

Szerlok Holmes powrócił natychmiast z policyi do domu. Automobil stanął na miejscu w niecałą godzinę. Zapalił elektryczne światło w sieni i pobiegł galopem po schodach na górę do siebie.

Na ostatnim stopniu potknął się o jakiegoś człowieka, leżącego bezwładnie na ziemi. Schylił się nad nim i wydał okrzyk przerażenia.

Był to Harry! Martwe oczy jego napół otwarte patrzały bez wyrazu na detektywa. Zwyczajne szklanne spojrzenie umarłego. Z barków płynęła mu krew wązkim paskiem i wsiąkała w podłogę.

Szerlok Holmes obejrzał dokładnie ranę i grzmiącym głosem zawołał na służącego.

Ale nikt nie wyszedł. Widocznem było, że miała tu miejsce krwawa walka. — Trup służącego leżał na wyższym piętrze. Nieszczęśliwy miał kulę w sercu.

Gorączkowo zaczął detektyw szukać dalej.

Nieznajoma obłąkana kobieta ze złotymi włosami zniknęła bez śladu. Szerlok Holmes opuścił Juna z łańcucha.

Ale pies nie mógł nic zwęszyć.

A więc spełniono nową zbrodnię! Zuchwałą pospolitą zbrodnię podczas nieobecności detektywa w willi.

Zmęczonym, ociężałym krokiem poszedł do swego gabinetu i zatelefonował po lekarza.

Ten przybył natychmiast i oświadczył, że Harry musi być koniecznie przeniesiony do kliniki i poruczony troskliwej opiece lekarskiej. Nóż, którym otrzymał śmiertelne prawie pchnięcie — drasnął mu płuca.

Holmes odwiózł ukochanego ucznia do szpitala, a potem wrócił do domu.

Sam przygotował sobie śniadanie i kupił dzienniki. Przeglądając „Timesa“ natrafił na małą kronikarską wzmiankę w rubryce „Wypadków“.

„Na idącą ulicą małżeńską parę rzucił się nagle młody, elegancko ubrany człowiek i usiłował kobietę wydrzeć przemocą z ramienia mężczyzny, wołając głośno, że mężatka owa jest ofiarą zbrodni. Dopiero policyi udało się oswobodzić napadniętych i ująć opryszka czy waryata, którego celem zbadania stanu umysłowego oddano pod lekarską obserwacyę do kliniki psychiatrycznej. Aresztowany podaje się za amerykanina, tosamo twierdzi o napadniętej na ulicy kobiecie, pomimo, że ta ostatnia, w przeciwieństwie do niego, nie zatrąca bynajmniej akcentem amerykańskim, lecz wyraża się poprawną angielszczyzną“!

Holmes odczytał jeszcze raz notatkę i pojechał potem do kliniki psychiatrycznej, a ogromnymi susami podążał za nim i jego pies ulubiony.

Na żądanie detektywa wprowadzonym został będący na obserwacyi człowiek, który miał się nazywać Claver, a w szpitalu oznaczony był Nr. 52.

W towarzystwie dozorcy wszedł chory ze skrępowanemi w tyle rękoma. Był to młody, słusznego wzrostu człowiek, wygląd jego świadczył o przynależeniu do lepszych klas towarzyskich. Zachowywał się zupełnie spokojnie. Jedynie oczy jego wyrażały jakąś niepewność i miały wyraz właściwy obłąkanym.

— Panie Claver! — rzekł dyrektor. — Obiecałeś pan dostarczyć nam dzisiaj dowodów, że znasz pan kobietę napadniętą wczoraj przez sie-

bie. Mówiłeś pan, że dama ta pochodzi z Ameryki. Co pan masz nam o tem do powiedzenia?

Amerykanin spojrzał na lekarza i rzekł:

— Nie nazywam się Claver!

— Jakto? nie? A więc jak się pan nazywasz?

— Moje nazwisko jest Jerzy Rouvilliers. Przybywam z Paryża i chcę złożyć pewne zeznania.

Lekarz spoważniał i przygotował sobie ćwiartkę papieru.

— Co pan masz sobie do wyrzucenia?

— Popełniłem zbrodnię!

Mówił to monotonnym, obojętnym głosem.

— Co za zbrodnię?

— Na razie odmawiam w tym względzie wszelkich wyjaśnień!

— Jak pan usprawiedliwisz wczorajsze swoje znalezienie się?

— Nic o tem nie wiem!

— Jakto? Nie wiesz pan, że napadłeś kobietę, idącą w towarzystwie męża i dla tego zostałeś aresztowany?

— To był z pewnością kto inny! Ja mam Nr. 55! — upierał się przy swoim nieszczęśliwy.

— Co pan powiesz na to? — zwrócił się lekarz do Holmesa. — Na taki zwrot sprawy nie byłem przygotowany, aczkolwiek wiedziałem z góry, że ma się tu do czynienia z obłąkanym. On ma Nr. 55!

— Czy nie byłbyś pan tak dobry zoprowadzić mnie do celi chorego? A zatem pokój Nr. 52! — rzekł detektyw.

Poszli do celi Nr. 52, urządzonej czysto i przyzwoicie, jak ogółem wszystkie cele w tej słynnej klinice psychiatrycznej.

Szerlok Holmes rozejrzał się po pokoju, a potem podszedł ku oknu, schylił się i podniósł coś.

Lekarz widział to.

— Co pan znalazłeś, panie Holmes?

— Brylant panie doktorze! — odparł tenże z uśmiechem. — Duży brylant, który miałby nieocenioną wartość, gdyby nie był tylko zręczną imitacyą.

— Tego kamienia nie znaleźliśmy absolutnie przy rewizyi jego ubrania! — rzekł dozorca.

— I ja tak sądzę! — dodał Holmes.

— W takim razie kamień ten rzucono z zewnątrz! — rzekł lekarz, zwracając się do detektywa.

— To jest moje przekonanie!

— W jakim celu?

— Wybaczy pan, że na razie nie odpowiem na to! Natomiast proszę o dokładne przeszukanie ubrania tego człowieka!

Żądaniu temu stało się zadość. W portfelu jego znaleziono większą sumę pieniędzy, a przy nich zwój włosów, prócz tego wyciągnięto mu z kieszeni małą haftowaną chusteczkę do nosa.

— Dziękuję panie doktorze! — rzekł Holmes, chowając włosy i chusteczkę.

Z temi słowami skłonił się i wyszedł.

Wróciwszy do domu, dał Holmes włosy i chustkę do obwąchania psu. Przez chwilę pies wietrzył w powietrzu, a potem rzucił się z głośnem szczekaniem wprost odwrotnym kierunku, skąd przyszł. Detektyw pospieszył za nim, co miał tchu.

Wierne zwierzę biegło przez rozmaite ulice, uliczki i zaułki, aż stanęło wreszcie przed małym domkiem.

Na szyldzie było wypisane: „Handlarz starzyzny, Izak Solinger“.

Holmes kazał psu czekać, a sam wszedł do środka.

Po upływie jakiej pół godziny wyszedł; lekka bladość pokrywała twarz jego.

Stanął i spojrzał na zegarek.

— Trzy kwadranse na dwunastą!—mruknął— o 12-tej będzie biuro na pewno zamknięte, bo dzisiaj mamy galowe święto.

Skinął na psa i udał się do City. Biła godzina pierwsza.

Rozejrzał się dookoła, a potem otworzył bramę i wszedł na schody pokryte suknem, aż na II-gie piętro. Na jednych drzwiach był napis:

„Charles Warringer, Notaryat XVII. miasta Londynu“.

Przy pomocy wytrycha dostał się do biura. Kancelarya była zupełnie pusta.

Holmes zbliżył się do wielkich półek z aktami, zajmujących całą długość ściany i z fachu oznaczonego literą „N“ wyciągnął wielki plik papierów, z którego jeszcze wyjął mniejszy fascykuł.

Z papierów wypadł złoty pierścionek. Detektyw przeczytał szybko jeden z aktów, a potem opuścił biuro, zamknąwszy starannie drzwi za sobą.

Następnie udał się do Centrali policyjnej.

Przyjęty jak zwykle z wielkimi honorami, przywitał się uprzejmie z dyżurnym urzędnikiem, a zająwszy wskazane miejsce, rzekł:

— Jeżeli się nie mylę, umarła nagle przed

5 ciu laty młoda kobieta nazwiskiem Helena Griffit. Czy pan pamięta?

— Chwilkę cierpliwości, panie Holmes! K żę w tej chwili zobaczyć w registraturze!

Za niedługo przyszedł inspektor i skłoniwszy się, rzekł:

— Mamy to, o co się panu rozchodzi! Przed 5-ciu laty umarła nagle Helena Griffit, biedna szwaczka. Pogrzebaną została na północno-zachodnim cmentarzu.

— Który numer grobu? — zapytał Holmes krótko.

— Grób Nr. 32, kwatera 17.

— Grób Nr. 32 w kwaterze 17 — jest pusty!

Urzędnik spojrzał na niego ze zdumieniem.

— Pusty?

— Tak jest! Tak powiedziałem!

— Ależ w tej chwili pan słyszał, że pochowaną tam została Helena Griffit!

— A ja pana zapewniam, że grób ten jest pusty! W interesie prawdy byłoby bardzo wskazanem urzędowe stwierdzenie tej okoliczności!

Komisarz zrobił natychmiast doniesienie do Prokuratoryi, a Szerlok Holmes pożegnawszy się z nim — opuścił biuro policyjne i udał się do kliniki, gdzie leżał ciężko zraniony ulubiony uczeń jego, Harry Takson.

Harry przychodził zwolna do siebie. Leżał na łóżku osłabiony, blady, z białym opatrunkiem na plecach. Pocieszywszy jak mógł wiernego swego pomocnika, wrócił do domu, gdzie niezadługo został telefonicznie zawiadomiony o otwarciu grobu.

Była godzina 8-ma wieczorem i na cmentarzu nie było żywej duszy oprócz urzędników policyjnych i wielkiego detektywa, którzy znaleźli się nad grobem.

Smutny i grozą przejmujący był to widok, gdy przy krwawem świetle smolnych pochodni odkopano małą opuszczoną mogiłkę i wydobyto na pół zmurszałą trumnę.

Na rozkaz Holmosa zdjęto z niej wieko.

Szkielet okryty strzępami szat leżał w trumnie.

Urzędnik policyjny spojrzał ironicznie na Holmesa.

— No i cóż mistrzu? — zapytał.

— Pomyliłem się!

— To nic! — rzekł wyrozumiałem tonem urzędnik. — Mylić się jest rzeczą ludzką!

Ale wielki detektyw podniósł rękę. Oczy wszystkich skierowały się na niego.

— Pomyliłem się — rzekł — ale tylko w małym, nic nie znaczącym szczególe! Proszę zarządzić ekshumacyę zwłok.

— Dla czego?

— Ponieważ te szczątki ludzkie są mężczyzny, a nie kobiety! — odpowiedział Szerlok Holmes, kiwnął głową na pożegnanie i oddalił się, zostawiając zdziwionych i zmieszanych policystów na cmentarzu.

Krótkie badanie stwierdziło prawdziwość słów wielkiego detektywa.

Były to zwłoki mężczyzny, gdzież w takim razie podziała się Helena Griffit?

Szerlok Holmes był na drugi dzień w klinice psychiatryc nej i uzyskał rozmowę w cztery oczy z tajemniczym Amerykaninem, czy Francuzem.

Chory siedział na fotelu i zaledwie spojrzał na wchodzącego. Ten stanął naprzeciw niego, wyjął imitacyę brylantu z kieszeni i trzymał kamień w ten sposób, że odbite w nim promienie światła padały wprost w oczy waryata. Po kilku chwilach chory popadł w stan lekkiej hypnozy, którą Holmes utrwalił, magnetyzując go swoim wzrokiem.

— Czy mnie pan słyszysz?

— Tak jest! słyszę pana!

— Czy pan jesteś mr. Claver z Ameryki?

— Tak jest!

— A więc rozkazuję panu, byś sobie wszystko przypomniał, co się przydarzyło tu w Londynie, ażebyś znowu wiedział o zdarzeniach w Ameryce, a zapomniał natomiast o tem wszystkiem, co sam w siebie wmówiłeś!... Czyś mnie pan zrozumiał?

— Tak jest! — odpowiedział Amerykanin głosem bez porównania dźwięczniejszym i pewniejszym.

W godzinę później udał się Holmes do dyrektora zakładu i uzyskał wypuszczenie mr. Clavera, który, jak zresztą sam lekarz się przekonał, powrócił zupełnie do zdrowia i robił obecnie wrażenie człowieka kompletnie poczytalnego i rozsądnego.

Razem ze swoim nowym przyjacielem opuścił Szerlok Holmes zakład psychiatryczny.

W krótkich słowach nakłonił go do zjawienia się na dzisiejszym festynie ogrodowym u baroneta Norfolka, obiecując mu, że w stosownej chwili zjawi mu się z pomocą.

Obydwaj panowie rozstali się.

ROZDZIAŁ V.

Śmierć w gościnie.

W prześlicznym, rozległym parku baronostwa Norfolk, w którym ostatnie róże jesienne kwitły, oświetlonym rzęsiście elektrycznymi, różnokolorowymi lampionami, rozlegała się wesoła taneczna muzyka a setki kostyumowanych par oddawało się pląsom, intrygom redutowym i wytwornemu flirtowi.

Nie wiedzieć, czy przez dziwny zbieg okoliczności, czy pod wpływem przeczucia wystąpiła lady Norfolk w kostyumie Lukrecyi Borgia, a średniowieczne bogate szaty i klejnoty uwydatniały cudownie jej królewską niemal postać i urodę.

Szła przy boku wysokiego mężczyzny, przebranego za Cezara Borgia.

— Czy jesteś pewnym, że nas nikt nie podsłuchuje? — zapytała lady.

— Najzupełniej!

— Znalazłeś na tyle odwagi, ażeby tu przyjść?! Czy to nie szaleństwo z twojej strony?! Czy nie byłoby lepiej, gdybyś się był ukrył gdzieś w bezpiecznem miejscu, aż cała sprawa zostanie zapomnianą?

— Szerlok Holmes i sprawa zapomniana!... Nie znasz go widać! Człowiek ten nie staje w pół drogi! I coby mi była pomogła ucieczka? Czyż nie wydałbym ciebie na łup. a wreszcie i samego siebie?! Nie, nie! to byłoby bezcelowem! Jedyną radą jest usunięcie wszelkich śladów!

— On znalazł zwłoki dziecka! — mruknęła lady blednąc.

Twarz mężczyzny zmieniła się nie do poznania.

— No i cóż dalej? Czy policya przyszła na cokolwiek? Jeden tylko człowiek mógłby zdradzić. Tym człowiekiem była ona!

Lady podniosła oczy i spojrzała bokiem na mówiącego. On zaśmiał się krótkim, urwanym śmiechem.

— Ona nie zdradzi już nas nigdy!

Lady, w których oczach zabłysła nienawiść, odetchnęła głęboko.

— To dobrze!

Milczała przez chwilę, a potem dodała:

— A Holmes? Jak myślisz, jakie kroki on przedsięweźmie?

— Cóż on może przedsięwziąć? Ten, który jedynie mógłby mówić, jest żywcem pogrzebany wśród murów domu obłąkanych. A co się tyczy ego samego — — Cezar Borgia pokazał rewolwer— :Znajdę sposobność — — — Na Boga! Czym oszalał? Co to jest? Czy to czary?!...

Zachwiał się i wskazał na bramę ręką. Lady krzyknęła i uchwyciła się kurczowo jego ramienia.

Nie, to nie było złudzenie, ani halucynacya. Pod szeroką bramą parku stała — śmierć!

Wysoka, chuda śmierć, tak jak ją sobie zabobonni wyobrażają, z kościstą twarzą i wygnitemi oczyma, otulona w długi czarny płaszcz.

Towarzysz lady Norfolk przyszedł pierwszy do siebie i zbierając siły przyskoczył do wstrętnego zjawiska.

— Jak się poważyłeś zuchwalcze wnosić w ten dom strach i przerażenie?! Czy masz zaproszenie?!

— Mam!

— Kłamiesz! — krzyknął towarzysz lady. — W tej chwili wyciągnął szpadę z pochwy.

Lady, obawiając się instynktownie bezpośredniego niebezpieczeństwa, krzyknęła przeraźliwie:

— Na miłość Boską! Rafaelu! raczej wszystko niż to!

Ale Rafael nie zważał na przestrogę. Z gołą szpadą w ręku rzucił się na nieznajomego, ale w tej chwili zabłysła i w jego ręku tasama broń.

Ostrze skrzyżowały się i Cezare Borgia upadł na ziemię, wypuszczając szpadę z dłoni. Piana wybiegła mu na usta, wargi przybrały siny kolor.

Dookoła zapaśników zebrały się tłumy gości.

— Szerlok Holmes! — wyszeptał Rafaelo zbladłemi wargi tak cicho, że nikt nie mógł go dosłyszeć.

— Śmierć! — przebiegło przez usta potrwożonych gości, którzy w panicznym przestrachu rozbiegli się na wszystkie strony, pragnąc uciec z tych miejsc. Ale wyjścia wszystkie były zamknięte.

Człowiek zaś przebrany za śmierć, stanął pośrodku nich, zdjął z oczu maskę i kłaniając się lekko, rzekł:

— Nie chowajcie się, moi państwo! Był to tylko mały dowód, jaką siłę posiada osobista suggestya. Patrzcież na mnie! Wszak jestem tylko człowiekiem!

Wszyscy odetchnęli z pewną ulgą. Niemniej jednak zapanowało pewne przygnębienie i zaniepokojenie, gdy ujrzeli przed sobą sławnego detektywa, którego zjawienie się było zawsze połączone z jakąś zbrodnią przez niego śledzaną.

— Jakby się państwu podobało, gdybym ożywił człowieka umarłego przed wielu wielu setkami

lat! Uspokójcie się! Rozchodzi się tu tylko o interesującą sztuczkę kuglarską.

W tej chwili czterej zamaskowani mężczyźni wnieśli mary, na których spoczywała, przykryta całunem, jakaś postać.

Detektyw zbliżył się do noszów, wyjął brylant z kieszeni i promienie jego, pochodzące z odbicia elektrycznych świateł, skierował na mumię.

Leżąca na marach postać zaczęła się powoli poruszać, aż wreszcie, odrzuciwszy ze siebie zasłony, wstała.

Wielkiemi oczyma patrzyła nieco zmieszana po obecnych. Teraz padło jej spojrzenie na młodzieńca, który stał obok. Źrenice jej rozszerzyły się. Drżenie przebiegło całą jej postać, łzy stanęły jej w oczach, a z piersi wyrwał się okrzyk:

— Edwardzie mój, Edwardzie!!...

Ale równocześnie rozległ się i drugi przeraźliwy, straszny krzyk. Pochodził on z ust baroneta Norfolka.

Rzucił się na kolana przed obudzoną z letargu kobietą i zawołał:

— Heleno!

Spojrzała na niego.

Zaledwie kilka sekund mierzyła go wzrokiem pełnym pogardy i niewysłowionego wstrętu.

Głuchy pomruk dał się słyszeć wokoło. Wtem spostrzegła kogoś, kto krył się za lady Norfolk.

Oczy jej rozszerzyły się, cała postać drżała. Ramiona wyciągnęła ze strachem przed siebie, jakby chroniąc się przed napaścią i krzyknęła przeraźliwym głosem:

— Morderca!

Jakby uderzony biczem skoczył Rafaelo Araref. Czarna broda, okalająca twarz jego — odpadła. Wszyscy poznali w nim niezręcznego służącego w domu Norfolka.

Chciał uciec przez bramę, ale silne ramiona zamaskowanych ludzi udaremniły jego zamiar.

Byli to przebrani detektywi.

— Zarządzam aresztowanie Rafaela Araref, będącego pod ciężkim zarzutem spełnienia całego szeregu zbrodni, jakoto: zamordowania niewinnego dziecka, zamordowania mego służącego i śmiertelnego zranienia Harry Teksona, spowodowania obłędu Edwarda Clavera i dwukrotnego usiłowanego zamordowania Heleny Griffit!

W tej chwili dwóch konstablów stanęło przy zbrodniarzu.

A Szerlok Holmes mówił dalej:

— Zarządzam areszt śledczy nad baronetem Freedem Norfolk z powodu odgrywania ohydnej komedyi i postępowania, nie będącego zgodnem ani z przepisami ustawy, ani z honorem uczciwego człowieka.

Obwiniony poddał się bez sporu.

Szare oczy detektywa skierowały się na lady Norfolk.

Z brzękiem upadła szklanka na ziemię, którą w tej chwili upuściła lady; ta śliczna, wspaniała kobieta, upadła martwa na ziemię.

Nie żyła. Lady Norfolk skończyła życie trucizną.

Szerlok Holmes spojrzał ponurym wzrokiem wokoło.

— Moja misya skończona!...

Z temi słowy opuścił ogród, w którym pogasły światła, a goście w przerażeniu uciekali od tych miejsc zbrodni i ohydy.

* * *

— Zapytuje mnie pan, panie sędzio śledczy, jaki kolejny był przebieg wypadków, będących obecnie przedmiotem dochodzeń sądowych?.. Otóż proszę posłuchać!...

Szerlok Holmes zagłębił się wygodnie w fotelu stojącym naprzeciw biurka sędziego i zapaliwszy papierosa, mówił:

Baronet Norfolk był przed 5 latami potajemnie żonaty z biedną dziewczyną, niejaką Heleną Griffit. Ojciec, zarozumiały arystokrata, dowiedziawszy się o mezaliansie syna — wyparł się go, przeklął i wydziedziczył. W rozporządzeniu ostatniej woli powtórzył tosamo na piśmie, łagodząc o tyle swój zagrobowy wyrok, że syn jego może powrócić do praw dziedzictwa dopiero wtedy, jeżeli jego żona umrze, a on ożeni się inną panną ze znakomitego arystokratycznego domu.

Helena, która męża kochała nad życie, zdecydowała się odegrać komedyę. Przy pomocy swego przyjaciela Ararefa uśpił ją i wywoławszy pozory letargu, ogłosił za umarłą. Tymczasem Helena wyjechała z dzieckiem do Ameryki, a Norfolk ożenił się natychmiast z prześliczną siostrą Ararefa.

Na nieszczęście powraca z Ameryki pierwsza, prawa żona Norfolka.

Łotr Araref zwabił ją do swego mieszkania i najpierw zamordował podstępnie jej dziecię, a następnie pogrążył ją w ciężki sen hypnotyczny i bezwładną, z wszystkimi oznakami śmierci — schował do szafy, która łączyła tajemnie mieszkanie jego kochanki, pani Rivoli.

Tymczasem powrócił z zagranicy brat Heleny, który w tej chwili rozpoczął poszukiwania za zaginioną siostrą.

Łotr umiał się z nim uporać. Zabił go z zasadzki i trupa pogrzebał w grobie przeznaczonym i oznaczonym jako grób Heleny Norfolk. Edwarda Clavera, który poznał i pokochał w Ameryce jeszcze Helenę i za nią do Londynu przyjechał — zamknął w domu waryatów.

Dzięki sprzyjającym okolicznościom, przy pomocy dzielnego mego pomocnika, który ciężką raną odpokutował walkę ze zbrodniarzem i obecnie ze śmiercią się pasuje — udało mi się ująć niebezpiecznego łotra. Godna jego wspólniczka i siostra wymknęła sie z rąk doczesnej sprawiedliwości; skończyła samobójczą śmiercią, zażywszy truciznę.

— Oto wszystko co miałem dodać jako wyjaśnienie, panie sędzio śledczy — kończył ze smutkiem Szerlok Holmes. — Teraz pozwól, że się oddalę i pójdę tam, gdzie mnie wzywa obowiązek i głos serca.

— Mój biedny Harry umiera w szpitalu!...

KONIEC.

Nr. 25 naszego Tygodnika zawiera między innemi senzacyjną powieść z przygód ***Szerloka Holmesa*** *p. t.* ***Doświadczenie rzeźbiarza.***

Uwagi i przestrogi pana Majtyki,

c. k. emerytowanego woźnego sądowego dla kolegów, będących w czynnej służbie.

Kochani Koledzy!

Między wieloma wadami, powiedziałbym po prostu wadami niemożliwemi — największą wadą jest z pewnością roztargnienie, które zwłaszcza w naszym ciężkim, a odpowiedzialnym zawodzie c. k. egzekutorów, może okropne skutki za sobą pociągnąć.

Ja, chwała Bogu, ustrzegłem się tej zdrożności. Roztargnionym bywam tylko po kilkunastu bombach, a pijany idę co najwyżej do Gołdy w Siennej ulicy, na czarą kawę, ale nigdy na urzędowanie.

Ale za to jednemu mojemu dobremu nieznajomemu, zdarzył się fatalny wypadek, całe szczęście, że nie był on żadnym c. k. dygnitarzem, jak ja, lub Wy Szanowni Koledzy, ale zwyczajnym grajkiem, czy tam kompozytorem, jak n. p. Bethoven lub Mozart i inni im podobni komedyanci.

Otóż ten Pan Klawiszewski Funio urządził przez swoje roztargnienie taki kawał, że niech ręka nogę broni, a w ten kawał i mnie wpakował.

Ale opowiem wam wszystko „ab ovo“, czyli od jajka, co znaczy tosamo po rzymiańsku.

Ja mam żonę, córkę i fortepian i muszę powiedzieć sumiennie, że się dosyć naharowałem, zanim te meble mogłem sobie sprawić.

Córka moja ma wiele talentu na fortepianie i umie grać obiema rękami, z przekładaniem raz prawa przez lewą, raz lewa przez prawą, a w pedały tak kopie, jak w nożną maszynę do szycia, którą wziąłem na raty.

Możecie sobie myśleć, jak utalentowane to dziecko przepada za fortepianem i po prostu dziwi mnie, że całkiem nie przepadła.

Ale wracam do tego rzymskiego jajka.

Siedzimy sobie pewnego razu przy objedzie, towarzystwo domowe i domowy obiadek, panie bździejku! Ja, żona, córka, cielęcina — acha! jeszcze był mój szwagier, panie bździu! faszerowane jaja, pieprz, sól, widelce, noże, łyżki — jednem słowem komilfajt, panie bździejku!

Ja, to nie jestem wolnomyślny i na punkcie kuchni to się znam, jak financminister na trafice.

W domu zjem wszystko i nic mi nie szkodzi, a w restauracyi, to panie bździejku, zaraz mam darcie kiszek i to z góry na dół bez ustanku. Raz zjadłem u Kućmierczyka homora, czy krokodyla, to panie bździejku, dostałem zaraz na drugi dzień silnej nostalgii, która się skończyła prezerwatywą.

Ale wracam jeszcze raz do tego włoskiego jajka, czyli do początku, jak mówił rzymianin.

Otóż siedzimy sobie przy obiadku.

Nagle słychać pukanie, drzwi się otwierają i jak bomba wpada jakiś młodzieniec z rozwichrzoną czupryną, brudnym kołnierzykiem i szkłach na nosie. Obraz rozpaczy i waryacyi — powiadam państwu!

Zgłupieliśmy wszyscy, ujrzawszy to zjawisko w ludzkiej postaci i obszarpanych spodniach.

Ze zdziwienia stanęła mi skórka chleba w gardle, moja żona zgłupiała do reszty, a córka to już nawet zgłupieć nie mogła! Jedynie mój szwagier okazał przytomność umysłu i nalał sobie pół szklanki wódki i wypił.

— Czy tu jest fortepian? — zapytał młodzieniec o nieczystym kołnierzyku i takichże zamiarach i nie czekając, aż go kto poprosi dalej, albo za drzwi wyrzuci z powrotem, jednym susem wskoczył do saloniku, gdzie stał fortepian. Zamknął za sobą drzwi i w tej chwili usłyszeliśmy straszne tłuczenie w klawisze.

Patrzyliśmy po sobie ze zdziwieniem. Wtem moja stara mrugnęła do mnie lewem okiem na prawą stronę i rzekła potem do córki:

— Teciu! wyjdź!...

— Kalasanty! — rzekła — ja już wiem, o co się rozchodzi! Tecia dostała dziś list miłosny, który przypadkowo wpadł w moje ręce. (Mojej żonie wszystko przypadkowo wpada w ręce). Nieznajomy młodzieniec wynurza jej miłość i prosi o wzajemność. To z pewnością on!... Idź i rozmów się z nim!... Tu się rozchodzi o szczęście twego dziecka.

— A! jeżeli się rozchodzi o szczęście dziecka — pomyślałem — to człowiek nie zlęknie się nawet i waryata.

Poszedłem. Młodzieniec grał ciągle jeszcze.

— Panie! — rzekłem głosem ciepłym jak majowa deszczówka. — Wiadomy mi cel pańskich odwiedzin i ja nie mam nic przeciwko temu.

— Spodziewam się! — burknął lekceważącym tonem muzyk. — To też nie drożcie się państwo bardzo, bo nie macie z czem!...

Zdziwiła mnie trochę ta pewność siebie zakochanego w mojej córce młodzieńca, ale mówiłem dalej rozrzewniając się coraz bardziej.

— Chuchaliśmy na to, dmuchali panie bździejku, pielęgnowałem, stroiłem —

— A! pan dobrodziej sam stroił?

— Nie ja, nie ja panie bździejku, ja na to dawałem monetę, a rzeczą samą zajmowała się już matka!

— Jaka matka?

— To jest — — moja żona.

— Tak, to i pani dobrodziejka ma tu coś do mówienia. Panie lepiej ubijmy we dwójkę targu.

— Będziemy u pana codziennemi gośćmi, ażeby popatrzeć, pobłogosławić.

— Ależ panie — zawołał z rzetelnem zdziwieniem młodzieniec — po cóż błogosławieństwa do takiej bagatelki?

— Oj! panie bździejku! — westchnąłem — wcale to nie jest bagatelka, to bardzo ważny krok w życiu!... Daruj mi pan jako ojcu jedno pytanie; czy potrafisz utrzymać ten nasz skarb jedyny? Z tem trzeba oględnie, delikatnie.

— Nie zawracaj pan gitary!—rzekł cierpko— Jeżeli to wezmę wogóle, to będę robił z tem co mi się żywnie spodoba. Będę walił —

— Hola! mój panie! — rzekłem naprawdę już obrażony — pan mnie obrażasz? Mój skarb jedyny...

— Co za skarb — zawołał młodzieniec porywczo. — Tę starą maszynę nazywa skarbem ha! ha! ha! Nogi połamane, deka bez rezonansu, palnąć w to pięścią, to się rozleci jak pudełko tekturowe!

— O! mój panie bździejku! Tego to już za dużo! — zawołałem. — Nogi połamane, deka bez tego renesansu, pudełko tekturowe. Pan obrażasz moją córkę, panie bździejku.

— Jaką córkę?

— Moją!... W jakich zamiarach wszedłeś pod ten dach uwodzicielu?

— A w jakim celu wywiesiłeś pan kartkę?

— Jaką kartkę?

— Jaką? Na bramie: „Tu jest tanio fortepian do nabycia“!

— To pan mówisz o fortepianie, a ja myślałem, to jest, moja żona sądzi, moja córka się spodziewa —

— Mało mnie to obchodzi, czy się pańska córka spodziewa, czy się nie spodziewa. O czem mi tu pan gadasz?

— O mojej córce!!

Tu wybadałem młodzieńca i skonstantynowałem, że ani nie pisał żadnego listu w ogólności, a do mojej córki w szczególności, dalej że nie myśli wcale się żenić w ogólności, a z moją córką w szczególności. Natomiast ma zamiar kupić jaki stary fortepian.

Pan Klawiszewski pomylił się przez roztargnienie o jedno piętro, bo wprawdzie był fortepian do sprzedania w tej kamienicy, ale nie u mnie na parterze — tylko o jedno piętro wyżej.

Oto do czego prowadzi przeklęte roztargnienie! — —

Wydawca: Aleksander Ripper. Redaktor odpowiedzialny: Tomasz Wróbel. Drukarnia A. Rippera w Krakowie.